

Wychodzi co niedzielę pod redakcją prof. Mieczysława Dąbrowskiego.

Dodatek do Nru 235-go „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO” z dnia 1-go września 1930 r.

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

POLSKA IREDENTA W GALICJI (1880—1897).

Frazes a czyn. — Prawda a fałszywa opinia. — Cel zjazdu. — „Pamiętnik”. — Wyniki pracy konspiracyjnej.

Kraków, 31 sierpnia.

W pierwszych dniach września odbędzie się we Lwowie zjazd doprawdy osobliwy. Oto zbiorą się tam, rozproszeni dziś po Polsce i poza Polską, najprawdziwsi „Galicianie”, którzy Polskę taką, jak ją dziś mamy — bez trzech cesarzy, bez trzech kordonów, między Horyniem a Notecią, od Dniestru po Inflanty, od Tatr do morza, nawet z marszałkowską buławą własnego wojska nosili już w swoim tornistrze szkolnym.

O kimże to mowa? — spyta zniecierpliwiony Czytelnik. Ano, właśnie o tych, którzy przed laty mniej więcej 40, we Lwowie czy Krakowie, Tarnopolu, Przemyślu czy Wadowicach, chodzili do szkoły, w której nad bramą rozpięta była czarna różnorożna herb c. k. monarchii rakuskiej — ale już w jej murach z polską huczało gromkie: „Nie masz to wiary, jak w naszym znaku”; rozbrzmiewał głos pełen młodzieńczej ufności: „Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec, a jeśli potrzeba, idą po kolei jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec”; — zrywał się już o krzyk przepojony gorącością ku zaborcy: „Chcesz zdurzyć nas, oszukać chcesz świat cały — plujemy ci w twarz za mary twoich łask”; i rozlegało się nawoływanie coraz głośniejsze Mickiewicza słowami: „Razem, młodzi przyjaciele! Gwałt niech się gwałtem odciska! Nie dbam jaka spadnie kara... Zemsta, zemsta na wroga!”

Otóż słysząc te potargane echa wielkiej poezji narodowej, można dojść do wniosku, że ci ją chętnie recytowali, nie mając jeszcze wtedy na studenckiej ławie innych sposobów wyładowywania swej energii młodzieńczej, i tym właśnie kultem deklamacji patriotycznej przyzwyczajali społeczeństwo do niepożądanego zastępowania czynu poetyczną frazeologią bierności, a co najwyżej, teatralnie zainscenizowaną demonstracją.

Tymczasem wspomniany zjazd lwowski ma właśnie przekonać, że było inaczej. — Owszem, jeśli o tych idzie, to oni w gimnazjum na deklamację „z własnej pilności” dla polonisty wybierali sobie utwory brzmiałe patryjotycznym, jak „Reduta Ordo” czy „Grób Agamemnona”, jak ustępy z trzeciej części „Dziadów” lub „Kordjana”, spisującego w podziemiach.

Ale dla nich taka podziemna robota spisowa nie była jenó kartą z przeszłości, ani samym pięknym słowem poezji. Dla nich wtedy ono słowo już staowało się ciałem, aż wreszcie przemieniło się w chleb powszedni — podobnie jak tam pod Moskalim, gdzie konspiracja z konieczności weszła w krew społeczeństwa i gdzie coraz to nowe roczniki etapami z cytadeli wędrujących do katorgi siberijskiej, czy na zesłanie w głąb Rasyi wywożonych studentów warszawskich, stałe zapewniały świat, że z ojca na syna przechodząca walka o wolność w podziemnym zmaganiu się z carskim kolosem trwa bez przerwy — do skutku.

O tem, że tak było ciągle od stu lat w Kongresowce, na Rusi, na Litwie, wiedziano wszędzie, podobnie jak przyzwyczajono się do innego znów systemu bronięcia się Polacy przed germanizacją w Polsce zachodniej. Ale, niestety, rozpowszechnił się przesąd, jakoby Galicianin dlatego, że przed nim stały otworem wszelkie uczelnie i urzędy, bywał tylko karierowiczem, a z tego względu nie chcąc nigdy narazić się nawet już nie samemu rządowi, ale choćby tym, którzy w kraju stali po stronie władzy — upikał jak zarazy wszystkiego, co mogło nie podobać się w sferach ultra lojalnych.

Wyrządza się jednak dzisiaj przez nieświadomość wielką krzywdę całemu społeczeństwu w Małopolsce, gdy się rzuca na nie rzycałtem podobny zarzut. Tak bowiem na-

gót nie było. I tego właśnie dowodzi fakt zjazdu na występie wspomnianego.

Jego komitet zaważwał wszystkich, którzy tylko mogą własnym żywym przykładem o tem zaświadczyć, by się stawili albo osobiście, albo przynajmniej przez odpowiedź na rozestane kwestjonariusze — umożliwili mu — dopóki żyją ludzie z tego pokolenia — ustalić dla użytku historii, jak wyglądało życie młodzieży polskiej na terenie ówczesnej Galicji między 1880 a 1897. Opowiedzą o tem jeszcze w tej chwili żyjący uczestnicy tajnych organizacji, które mając jako cel

miał od 1886 kontakt ze wszystkimi w Galicji gniazdami tajnych związków.

Na tle stosunków politycznych, kreśli Borzemski ideologię młodzieży, jej stosunek do starszego społeczeństwa, mówi serdecznie o jej duchowych kierownikach i wychowawcach. Na drogę stworzenia i w zaborze rakuskim „Polski podziemnej” naprowadzili młodzież weterani powstań 1830 i 1863, a głównie Mieczysław Darowski.

Organizacja miała za zadanie przygotować do walki o uzyskanie niepodległości Polski przez budzenie w jak najszerszych

Od początku spiski studenckie w Galicji stały na stanowisku „Iredenty” wobec trzech rządów zaborczych i starały się z czasem coraz mocniej szerzyć reakcję przeciwko zgodzie z losom na gruncie galicyjskim i rozpowszechniać uświadomienie, że zaborca rakuski w istocie rzeczy nie jest lepszy od sąsiadów. Organizacja oparta była o system dziesiątkowy i z małymi wyjątkami w ciągu iat nikt jej nie zdradził i nawet, gdy całą Galicję pokrywała swą siecią — władze do jej jądra nie dotarły. Zdołano kryć się ze swą robotą aż do czasu, kiedy około 1895 r. zaczęła się zamiana tajnych związków na jawne, podczas gdy poprzednio na zewnątrz występowała jedynie pod postacią manifestacji patriotycznych w rocznice dziejowe. Dla zmylenia pościgu policji zmieniano w ciągu lat nazwy tajnych związków w tej kolei: „Biały Orzeł”, „Żuawi”, „Liga Narodowa”, „Centralizacja Ligi Narodowej”, wreszcie bezimienna „Organizacja”. Oto zaś nazwy ich organów (poza paryskim „Wolnym Polskiem Słowem”): „Orle”, „Pionier” i „Baty”, a potem jawna już gazetka „Życie”.

Wreszcie godzi się zanotować kilka szerzej znanych nazwisk ludzi, którzy później stanęli na czele różnych instytucji publicznych, byli profesorami, inżynierami, nawet ministrami, a wtedy kierowali organizacją galicyjską obok wspomnianych W. Borzemskiego i Ernesta Adama: Stanisław Aleksandrowicz, Bolesław Błażek, Alfred Burzyński, Jan Biedron, Józef Baczyński, Roger Bataglja, Wiktor Baland, Adam Cehak, Tadeusz Dwernicki, Michał Danielak, Kazimierz Grochowski, Zygmunt Holobut, Jan Kolik, Hubert Linde, Antoni Lech, Jędrzej Moraczewski, Janusz Niemcewicz, Stanisław Pisarski, Eugenjusz Romer, Marjan Reiter, Marjan Rybczyński, Karol Rybiński, Tadeusz Sośniak, Jan Stapiński, Leopold Szenderowicz, Kazimierz Szczepański, Kazimierz Wróblewski, Konstanty Wojciechowski, Kasper Wojnar, Czesław Wóycicki, Kornel Żelaszkiewicz.

Prawdziwą rewelację stanowią w „Pamiętniku” szczegółowe sprawozdania z procesów politycznych, wytaczanych przez rząd austriacki przywódcom młodzieży, konspiracyjnej na ławie szkolnej: proces „Białego Orła” 1886, Tadeusza Sośniaka 1891, Jana Stapińskiego 1891, Wiktora Chajesa 1892, Kazimierza Szczepańskiego i Adama Cehaka 1893, i największy z nich, t. zw. tarnopolski proces przeciw Waclawowi Borzemskiemu.

Niejedno w robocie konspiratorów może się nam dziś wydać śmieszne czy naiwne, ale naogół przynajmniej trzeba, że ich manifestacje patriotyczne nie dawały społeczeństwu w wygodnej drzemce zobojeźnić dla sprawy polskiej, że ich praca nad ludem szerzyła uświadomienie narodowe tam, gdzie tego było bardzo potrzeba; że z ich kolek tajnych wychodzili właśnie najwybitniejsi działacze narodowi w kraju; że ich akcja, wyrabiając charakter, zapobiegła rozwielenianiu się karyerowiczostwa; że wogóle przygotowała kadry obywatelskie do objęcia ważnych stanowisk w momencie odzyskania niepodległości.

A między niewątpliwymi zasługami tajnych organizacji studenckich w Galicji z końca ubiegłego stulecia, których członkowie właśnie pracowali później w „Towarzystwie Szkoły Ludowej” i wszelkich jawnych stowarzyszeniach oświatowych, w „Sokolach”, „Gwiazdach”, „Kółkach rolniczych” i t. d. — jest jedna karta, która budzić będzie zawsze wzruszenie: to danie Polsce „orląt” lwowskich, których rodzicami, wychowawcami i nauczycielami byli właśnie uczestnicy galicyjskiej iredenty z okresu lat 1880—1897.



Członkowie tajnych organizacji niepodległościowych w b. Galicji, w latach 1880—1897. Stoją: s. p. Leopold Szenderowicz, Kazimierz Zipser, Stanisław Aleksandrowicz, s. p. Jarmulski, Adam Cehak. Siedzą: dr. Eugenjusz Reiter, Jędrzej Moraczewski, Waclaw Borzemski („Wacek”), Antoni Cybański, s. p. Karol Ruebenbauer.

ostateczny swojej patriotycznej roboty, odzyskanie niepodległości Polski, obejmowały w owych latach młodzież głównie kształcąca się w publicznych zakładach naukowych średnich i wyższych, a poniekąd i młodzież rzemieślniczo-przemysłową, oraz handlową po większych miastach.

Już samo porozumienie się dawnych członków studenckiego spryszczenia w Galicji z lat około roku 1890 ułatwiło najcenniejsze dzieło zjazdu, a mianowicie wydanie na większą skalę pamiętnika, który stanie się oczywiście zaczątkiem szeregu pożądaných wydawnictw z tego samego zakresu materiałów historycznych i zarazem bodźcem do spisania dalszych wspomnień z tej epoki przez uczestników schodzących z życia, a unoszących z sobą niejedną tajemnicę niezmiernie interesującą dziejopisę tamtych czasów i ludzi.

Księga ta w ograniczonym nakładzie wydanie na zjazd p. t. „Pamiętnik tajnych organizacji niepodległościowych na terenie byłej Galicji w latach 1880 do 1897. Zebrał i ułożył Waclaw Borzemski. Wydano staraniem Komitetu zjazdu organizacji niepodległościowych we Lwowie 1930”.

Wymienione nazwisko popularnego na gruncie lwowskim profesora gimnazjalnego mówi bliżej znającym sprawę, że to nietylko redaktor i wydawca. Autor przeważnej części tej książki, to znawca przedmiotu, a przede wszystkim człowiek, który był tej roboty duszą przed pół wiekiem wraz z paru druhami, już nieżyjącymi — jak n. p. dr Ernest Adam. Borzemski bowiem, znany naówczas ogółowi młodzieży pod imieniem „Wacek”,

warstwach uświadomienia narodowego i przez urządzenie manifestacji patriotycznych, a w tym celu członkowie tajnych związków, ogarniających stopniowo coraz większe warstwy młodzieży, pracowali nad sobą, kształcili się w rzeczach polskich szerzej, niż w szkole — i przysposabiali się do ról, jakie wypadłoby im zająć w momencie upatrzonym.

Otóż pierwsze Kolo, które stało się zaczątkiem spryszczenia, obejmującego w ciągu lat kilkunastu tysięcy młodzieży po większych miastach Galicji, zawiązano we Lwowie w 1880 r. wśród grona uczniów obu gimnazjów polskich (Bernardyńskiego i Batoro), szkoły realnej i seminarjum nauczycielskiego. Oto ich nazwiska: Mikołaj Budzanowski, Ernest Breiter, Michał Danielak, Stefan Grzybowski, Bronisław Laskowicki, Teodor Skalecki, Kornel Stroka, Aleksander Żakiej, Jan Zaplachta. A w parę lat później wciągnięto i Ernesta Adama. Pierwsze zebrania tych spiskowców odbywały się w biurze c. k. Dyrekcji telegrafów, na której czole stał wtedy ojciec Kornela Stroki.

Z owego Kółka powstała z czasem Rada Główna całej organizacji — aż do chwili przejęcia jej przez spryszczenie ogólniejsze, kierowane z Genewy przez Jeża-Milkowskiego — przygotowujące już wyraźnie nowy ruch zbrojny i gromadzące środki na „Skarb narodowy”. Kiedy ta nowa organizacja do stała się pod wpływ stronnictwa wszechpolskiego, część młodzieży lewicowo nastrojona poczęła się organizować w kółkach odrębnych, w których następnie rozwinął się ruch niepodległościowy, znany z okresu przedwojennego.

Sylwetki i profile.

Andrzej Rivoire.

Kraków, 31 sierpnia.

Dnia 19 sierpnia zmarł w Paryżu poeta i dramaturg Andrzej Rivoire. Urodzony w r. 1872 w Vienne, studiował w Paryżu w Lycee Henri IV., gdzie wykładał Bergson. Od za-czątków interesuje Rivoire'a poezja i zagadnienia filozoficzne. W r. 1893 publikuje w czasopiśmie literackich swoje pierwsze utwory pod pseudonimem *Andrzej Sazel*. W r. 1895 wychodzi pierwszy zbiorek poezji Rivoire'a p. n. „*Dziewice*“ (*Vierges*), który ukazał się tuż po słynnej powieści Prevosta „*Półdziewice*“ (*Demi-vierges*).

Pierwszy zbiorek Rivoire'a zdradza poety wielkiej subtelności o delikatnym wycuciu konfliktów wewnętrznych i zmysłe dla ciszy i zadumy. Wyraża się na tych kartach liryk „pur sang“, godny następcy *Lamartine'a* i *Franciszka Coppee*.



ANDRZEJ RIVOIRE.

Te same zalety, tylko w formie bardziej dojrzałej i skrytykowanej, widzimy w drugim zbiorze Rivoire'a „*Le sonnet de l'amour*“ (*Sen miłości*). Znowu przelotne i delikatne uczucia ujęte w formę pełną zadumy i harmonji. Nie ma tam zaborczego tonu *Rimbauda*, ani jego barwnej fantazji, niema tam wy-refinowanych obrazowań *Valery'ego* czy pani *de Noailles*. Strofy płyną czysto, potoczysie, tracą nutę klasycystyczną niemal.

Na polu dramatu przejawia się genjusz Andrzeja Rivoire z tą samą czarującą subtelnością, co w poezji. Jego „*Dobry król Dagobert*“ (*Le bon roi Dagobert*), „*Mój przyjaciel Teddy*“ (*Mon ami Teddy*), pisany wspólnie z *Lucien Besnardem*, czy „*Aby żyć szczęśliwie*“ (*Pour vivre heureux*), pisany wspólnie z *Yves Mirandem* odniosły wielkie sukcesy w teatrze dzięki przemyślanej i poetyczności atmosfery. Również jego sztuka „*Pardon, Madame*“, pisana wspólnie z dobrym technikiem teatru *Robertem Coolusem*, była jedną z najentuzjastycznie przyjętych w ostatnich latach sztuk Paryża.

Teatr Rivoire'a, który jeden z krytyków nazwał *teatrem marzenia i miłości*, stroni od zagadnień społecznych, które wtargnęły do wytwórczości wszystkich niemal dramaturgów ówczesnych. Z dzisiejszych pisarzy przypomina go może najbardziej *Jean Sarment*, autor sztuk „*Łowca snów*“, „*Małżeństwo Hamleta*“ i in.

z. g.

STEFAN NOWIŃSKI.

WRACAMY!

Wakacje, jak każde dzieło ludzkie z wyjątkiem *wesła i wody kolońskiej* — mają defekt. Z najmilszych, najudańszych, z najwesołszych czy najpodlejszych — trzeba wrócić do tzw. „*domu*“, który nie zawsze pokrywa się z pojęciem *schroniska*, w jakim chętnie pozostalibyśmy na zawsze. Ta jedyna, i zawsze ta sama, *pointa wakacji* wykazuje nam ulomność naszej natury i jej możliwości, przewyższanej przez dzieła boskie, które jak, dajmy na to, pstrąg mogą mieć końców więcej np. trzy: 1) głowa, 2) ogon i 3) gdy się go zje.

Nie należy się jednak zrażać, bo do życia, jak do garbu można się przyzwyczaić i przyjąwszy zasadę, że nie jest ono romansem, można przetrzymać tych parę okresów między-wakacyjnych, zanim się uspokoiemy...

Trzeba wracać, trudno. Nie każdej przecie udać się może zamąpójście za kapitana australijskiego okrętu, tak wprost z plaży na *Pacyfik*, ani nie każdemu powiedzie się *po-myślny spadek* n. p. z *Swinney*, by go potem z cegielkami i honorami pochowali na rozkoszonym cmentarzu zakopiańskim.

Większość, wydawszy ostatnie złotówki — musi wracać, bo wszędzie dobrze, ale martwie

MARJAN CZUCHNOWSKI.

(Z listów do J. A. Rimbaud).

SIOSTRY.

Welony kobiet snuły się po polu,
By z sobą unieść chłód, który poi.

Wieczór trwał, jak szmer owadów, garść pro-mieni, nitka wody w mokrym piasku.

Dlaczego nie wolno w pachnące mlekiem,
pulchne policzki

Wtulił profilu z Szopena-i z wosku, w powie-trzu z liści i woni karbolu?

STANISŁAW KASZYCKI.

WRZOSY.

Wdecham ciebie jesienią... Pełną piersią wde-cham.

Mienię mi się godziny złotością dojrzewają.

Przebrzmiewają w nich jakieś radości, jak echa,

I spadają we wieczność, niby liście z drzewa.

Myśli są dziś przejrzyste i złote, jak przestrzeń.
Przeszłość stroi się w srebrne paciorki paję-czyn —

Dni minione wracają, wszystkie, wśród szele-szczeń

Cichutkich, jak marzenia prostych, wiejskich dziewczyn.

I czekać? Żeby choć księżyc w noc żalobną uderzył srebrnym dyskiem blasku.

Mgła szczerze na powietrzu stoi,
Ciszę zapęda do wodopoju.

Siostrzym w uszach dzwoniły świecące kamyki.

Miękko zdejmując w lustrach żółte rękawiczki,
W obrączce włosów blond płuczą kolczyki,
W czerwonym jak wargi pokoju.

Oto, jakby, wyrzniętym niemym, co przyłoczył
Twe ugory słoneczne i złote ścierniska,
Spoglądają dziś na świat moje smutne oczy,
Jak za rzęsą popiołów gasnące ogniska.

Oto, we mnie tkwi skarga mrących, złotych
liści,

I cicha rezygnacja bolesnych przekwitań,
Tych kwiatów, co wciąż śniły, że cud im się
zisi:

Że wieczna wiosna do nich miłostnie zawita.

Świat rozciągnął się wokół przepychem kolorów.
Ktoś napiął bezlitośnie ciciwę patosu —

Więc zakwitłem na malej polance, u boru,
Melancholiją różową roztekniętych wrzosów.

LEONARD KOCIEMSKI.

Sześćsetlecie fasady katedry w Orwieto.

Święte relikwie. — Urbs Vetus i architekt Maitani. — Piękno fasady.

Orwieto, w sierpniu.

Kto z cudzoziemców, choćby raz tylko będących we Włoszech, nie słyszał o Orwieto?

— *Vino d' Orwieto, signor!* (Orwietońskie wino) wykrzykują sprzedawcy koszyczków z umiejętnie zaimportowanym śniadaniem lub kolacją, nietylko na samej stacji orwietońskiej, ale i na innych, zachęcając podróżnych do zakupu.

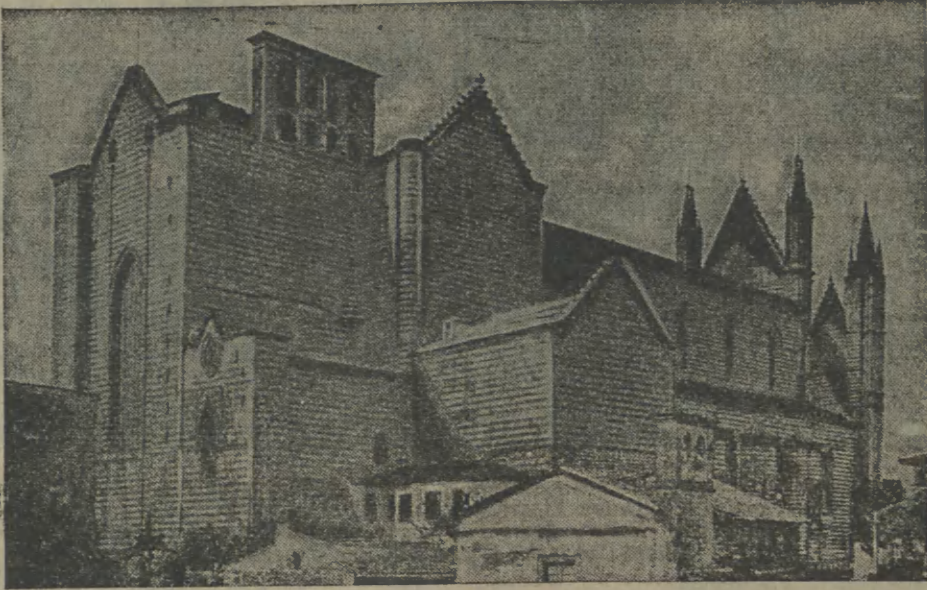
— To są słynne *majoliki z Orwieto* — powiada z dumą właściciel sklepu z majolikami, wskazując na ciekawe okazy tej specjalnie włoskiej sztuki, w której przetrwała przeszłość, sięgająca czasów najdawniejszych, przedetruskich jeszcze.

Słowem, często bardzo spotkać się można z nazwą miasta, które szczyty się *pocho-dzę-*

nem etruskiem, przystosowując swą nazwę rzymską do obecnych czasów — zamiana z *Urbs Vetus* (Stare miasto) na *Orwieto*.

Niewiele jednak z cudzoziemców wie o tem, że miasto to zamyka w swych murach jedną z najdroższych sercu katolika relikwii i słusznie pretendować może do nazwy *miasta Bo-żego Ciała*.

Istotnie, w katedrze orwietońskiej przecho-wuje się *lniane tkaniny ołtarzowe, skropione krwią Chrystusa Pana* w r. 1263, kiedy to mnich czeski, imieniem *Piotr*, zdążając do Rzymu i odprowadzając *Mszę św. w miasteczku Bolsena koło Orwieto*, otrzymał łaskę rozwią-zania swych powątpiewań o obecności Chrystusa w św. Eucharystji. Podczas konsekracji, łamiąc św. Hostję, wąpłacy mnich zobaczył,



Widok na absydę katedry w Orwieto.

się musimy w t. zw. *miejsce stałego zamieszka-nia*.

Czy jednak nie dałoby się jakoś osłodzić tego przelomu psychicznego, powstającego między radosną egzystencją na wakacjach, a cierpkim bytowaniem po nich? Czy konieczna jest tragedia?

Pójdźmy na *kompromis!* Zanalizujmy treść i składniki feryj, może uda nam się któryś z ich elementów wprowadzić do t. zw. ży-cia normalnego, urządzanego przez wielu i dla wielu, jako sabat wszelkich okropności, wyczyniany na osobach współczesnych cierpiętników przez los, miasto i inną tzw. kon-junkturę.

A więc: na *Helu*, *Podhalu*, w *Karpatach*, czy nad *Adriatykiem* — jest pięknie, racja. Wszystko się tam do nas śmieje: morze, góry, słońce, ludzie, konie, nawet deszcz — bo my przyjeżdżamy tam *radośnie!* pełni *wesela* — i *gotówki*, nie mając innych smartwień pozatem, aby użyć i zabawić się.

Spróbujmy jednak pospacerować sobie np. po plaży czy pod *Regłami*, — tak *bez posady, mieszkania i pieniędzy*, a ujrzemy tylko „*głupie morze*“, „*tepe góry*“, „*ordynarne wście*“ i wogóle irytujący chłód *enturażu*, obojętnego na nasze dramatyczne nastroje.

Tu rażąco objawia się lepsze zgranie i sympatja naszego miejskiego home'u, gdzie zakląwszy brzydko, czy zgrzytając zębami, nie *klóćmy się już przynajmniej z martwym*

tem, tutaj w mieście pobłażliwie dla nas u-kojnem.

To jest bezsprzeczna wyższość „*ogniska do-mowego*“ w mieście nad letniskiem, że *kląć* w niem (w tem tzw. ognisku) *kłopotać*, *zagryzać* i wreszcie *nawet powiesić się* — można spokojnie i w większym akordzie z oto-czeniem, niżli na letniku, gdzie prosto „*nie wypadają*“, innym psuc pobytu samobójstwem, lub choćby furją po porażce z życiem.

Są filozofowie, którzy ten jedynie cel istnie-nia miast i rodzin na pierwszym miejscu stawiają. W każdym jednak razie stwierdza on jakąś celowość wogóle gromadnego spóży-cia ludzi, która może być nawet jego zaletą, zwłaszcza gdy życie nie można sobie na stałe jako wakacji urządzić.

Wiemy więc już, że ani *Giewont*, *Bałtyk*, *Alpy* czy *Kaczy Dołek* nie mają monopolu na promienną radość — *tylko my ją tam znajdu-jemy*, jako *odcienie własnego, importowanego nastroju*. Chcemy na wakacjach być weseli i, z mniejszym lub większym powodzeniem — jesteśmy weseli.

Czy więc nie możnaby *przeszczepić coś z tej radosnej atmosfery do domu*? Jeżeli można przebyć kurację karlsbadzką np. w *Ry-czywole*, a kąpać się w wysokogórskiej jedli-nie w *Zagłębiu Dąbrowskiem*, *Ciechocinek* przechodzić na *Nalewkach*, a *Morszyn* wogóle zażywać — po przepiciu, to dlaczego nie można oprócz *wspomnień, ochów, achów i gry-*

że *krew żywa obficie ścieka mu po palcach* i broczy na kielich pozłocisty i na obrus oł-tarza.

Wówczas to *papież Urban IV* (Jakób Pan-taleon de Troyas), który już jako biskup w Liege, rozpoczął święcenie procesją uroczystą św. Eucharystji, powiadomiony o *cudzie w Bolsenie*, znajdując się w Orwieto, *ustano-wił święto Bożego Ciała* (*Corpus Domini*) dnia 11 sierpnia 1264 r., przynosząc relikwie cudu do Orwieto. A św. *Tomasz z Akwinu*, prze-bywający naówczas w klasztorze św. Domi-nika w Orwieto z rozkazu papieża, napisał specjalną *Mszę św. na ów dzień wielkopomny*, święcony przez całe chrześcijaństwo co roku we czwartek po święcie św. Trójcy.

Za domami, za szaryzną nieco monotonną pałkowiczaną fasadą, z którego zbudowane są pulkane orwietońskie i domostwa, wznosi się piękna, jak niebieskie objawienie, przepyszna jak stronica prastarego kodeksu zdobionego miniaturami, *fasada katedry orwietońskiej*. Na tej stronie z marmuru i mozaiki wyryta jest zgłoskami sztuki cała *historja religji chrześcijańskiej*. Harmonja części *mozaiko-wych* i *plaskorzeźb* odpowiada linjom archi-tektonicznemu, a całość jest zobrazowaniem najpiękniejszego wykwitu *gotyckiego*, rozumianego przez myśl i odczutości przez dłużej włoską, w której pierwiastki pogańskiego zachwytu dla piękna łączą się tak niepodzielnie z napływem bogactwem tego, co dała swia-tu w zakresie ducha, religja katolicka.

Orwieto i Włochy czczą obecnie pamięć wielkiego artysty, któremu zawdzięczamy to arcydzieło, stworzone ku chwale cudu w Bolsenie, gloryfikacji św. Eucharystji. *Sześćset-lecie zgonu Wawrzyńca Maitani'ego*, wielkiego Sjeneńczyka, jednego z tych Toskańczyków, którzy zapisali złotymi zgłoskami swe nazwiska w historii sztuki, jest świętem miasta Bożego Ciała. Fasada katedry, dzieło Maitani'ego, tak zrosła się z Orwietem, że duchowo nikt tu nie uważa wielkiego budowniczego za obcego: dzieło sztuki uczyniło zeń ziomka Orwietończyków i jako ziomkowi, miasto składa hold pamięci wiekustej temu, który 600 lat temu w 1303, roku pozostawił synom swym nakaz dokończenia tego, co oczyma duszy widział w chwili zgonu.

Nigdy nie zapomnę wrażenia podniosłego, jakie ongiś zrobiła na mnie *katedra*, oraz *kaplica Bożego Ciała*, odgradzona przesłicznymi wrotami z kutego żelaza, wykonanej przez *Matteusza z Bolonji* w 1421 r., przyczajona *freskami* ze szkoły *Giotta*, freskami *Ugolina*, *Eukasa Signorelli'ego*, *Prete Ilaria*, oraz obrazem *Lippo Memimi'ego* ze szkoły sjeneń-skiej.

Dziś, kiedy stanął na placu katedry, obramowanym z jednej strony pałacem papieża z XIII w. (gdzie mieści się z okazji sześćset-lecia *wystawa malarzy umbryjskich i sjeneń-skich*), z drugiej szeregiem pałaców prywatnych i domów średniowiecznych, odżyły wrażenia dawne. Wielu budowniczych i artystów pracowało od 1284 aż do 1532 przy wznoszeniu katedry orwietońskiej, całą listę pierwszorzędnych nazwisk możnaby przytoczyć, ale nikomu zaiste z nich godniej, niż *Wawrzyńcowi Maitani'emu* nie należy się obecny hold współczesnych Włoch. *Dwadzieścia pięć lat* pracy wielkiego Sjeneńczyka składa się na to, co oczy nasze dziś podziwiają.

Od *początków człowieka*, poprzez historje ze starego i z nowego testamentu, poprzez prorocstwa mesjaniczne i *żywot Chrystusa Pana*, aż do *Sądu Ostatecznego* niezrównanie bogata fantazja *Wawrzyńca Maitani'ego*, zępalająca prace i wysiłki wielu artystów, wypowiedziała się całkowicie. Rzeźbiarze, malarze, mozaikarze urzeczywistnili to, co budowniczcy fasady wyśnił sobie w najpiękniejszych swych snach.

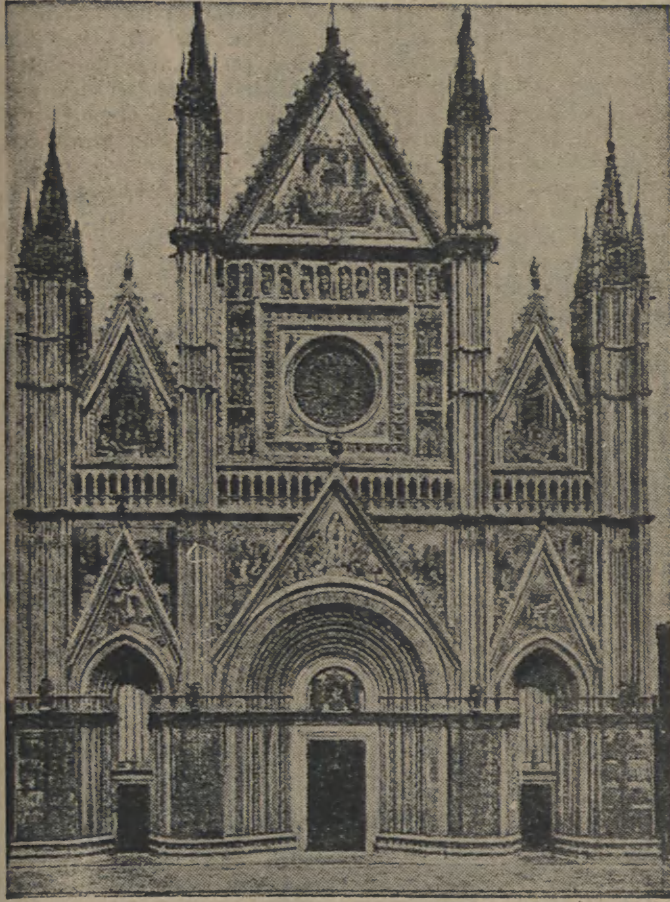
Trzy wieki złożyły się na wykonanie osta-

teczne projektu: XIV, XV, XVI, dwa wieki — XIV i XV — wystawiły niezniszczalny pomnik chwały Wawrzyńcowi Maitaniemu i jego synom: Mikołajowi i Witalisowi.

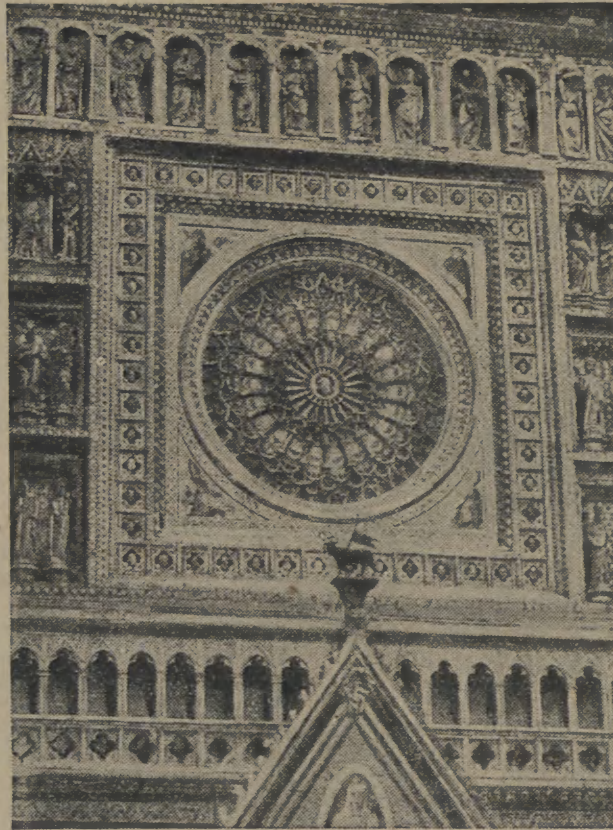
Ściągają zewsząd tłumy Włochów i cudzoziemców, na placu przed katedrą rozbrzmiewają najrozmaitsze dźwięki włoskie i języki cudzoziemskie. Ktoś opodal szepce: *Nie wi-*

działem nic piękniejszego ponad tę fasadę. Szukam oczyma tego, kto mówił po polsku, widzę zachwycone oczy jakiejś blondynki, opartej o ramię starszego pana i dziwna

wdzięczność rodzi się we mnie, że ktoś mówiący moją mową, wypowiada swój zachwyt dla arcydzieła, które piętrzy się przed nami.



Fasada katedry w Orvieto (1309—1532).



Rozeta gotycka fasady katedry w Orvieto.



Nawa główna katedry w Orvieto.

Z Polski o Polsce.

Warszawa-Zakopane.

Garść wrażeń z 500-kilometrowej wędrówki pieszej. Z Czerska do Skaryszewa.

Na szosie jak na patelni. — Warka i Pilica. — W Jedlińsku wszyscy źle się czują... — A Radom pracuje i rośnie. — Skaryszew mały a solidny.

Kraków, 31 sierpnia.

Dzień dzisiejszy poświęcam na spacer do Warki. Boczną drożyną, skrajem z Czerska, wydstają się na szosę, którą potem wałę prosto — na południe. Upał piekielny. Wioski kryją się gdzieś na boku, zrzadka tylko krańcami dotykając drogi. Czasem mignie pomarańczowo-zielona albo różowo-niebieska autobusina, kursująca do Warki czy Mniszewa. Czasem leniwie wlecze się furmanka ze zmachanym konikiem i kiwającym się na wszystkie strony gospodarzem.

Uf, gorąco! Słońce smaży delikatną wielkowiejską skórę. Nogi odwykłe od marszów, uzbrojone w okute buciory, miarowo ale ciężko wałę po zapyłonej szosie. Skwar. Pot. Babina jakaś lituje się nademną srodze: — Że też pan sobie taką mękę naznaczył!...

I jakże ja tu staruszcze wytłumaczę, że ta męka jest — cudowna, że dla człowieka, który przez jedenaście miesięcy rusza jedno — mózgiem, rozkoszą jest męczyć się, pokonywać trudy fizyczne, wędrować przez nieznaną wioskę i miasteczka, piec się w żarze słońca i koić pragnienie — zamiast „pół czarnej“ — ożywczą wodą z głębokiej studni przydrożnej...

W południe staję w Warce. Miasteczko wygląda jak wyludnione — wszyscy pocho-

wali się po domach przed upałem. Ludności około 5—6 tysięcy, ale poziom kulturalny znacznie niższy, niż w takiej choćby Górze Kalwarji. Nie czuć ani trochę bliskości stolicy. Głucha, zapadła prowincja. Zdobia miasteczną dwa kościoły. Jeden z nich, sto-



Piękne fasady z malowniczymi attykami kamieniczek starych w rynku w Radomiu.



Na rynku przy studni w Warce; wielce charakterystyczny obrazek rodzajowy z życia miasteczka.



Ulica Senatorska w Warce.

jący w głównej ulicy, dumnie *Senatorską* zwanej, pomimo zewnętrznej *rokokowej ornamentacji* sięga niewątpliwie czasów daw-

niejszych. Tablica na murze mówi o zwłokach dwóch księżów *nazowieckich*, które tu spoczywają.

Tłumaczą mi nieśmiało Warczanie:

— Miasto nasze biedne, zapomniane, drewniane... Ale zato okolicę mamy piękną. *Pilica* i — *lasy*.

Kiedy nazajutrz o 5-ej rano szedłem z Warki przez most ku południowi, rzeka nie wydała mi się zbyt malowniczą. *Pilica*, jedna z najbardziej romantycznych rzek Kongre-

na, która raczej mogłaby nas odstraszyć od ich używania. Dlatego też za najodpowiedniejszy marsz powrotny letników uważam piosenkę: „*Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma...*“ Wracajcie więc w jej rytmie i melodji a łatwiej wam będzie pogodzić się z losem.

Zresztą życie w mieście po powrocie z feryj nie jest pęzbawione uroku ani atrakcyj: wyjdźmy tylko i rozejrzyjmy się:

Oto na ulicach miast dzieją się teraz różne dziwne historie. Obok bowiem zwykłych, obywatelskich przechodniów, spotykamy ludzi o różnej barwie skóry widocznej tj. na twarzy i rękach. Tu *czarni*, tam *ciemni*, ówdzie *żółci*. *Bronzowi*, *czerwoni* i *krędowno-biali*; jesteście jakby w jakiejś metropolji międzyczasowej: *Sajgon*, *Aleksandria* i t. p.? Co dziwniejsze, że w tych ciemnych i żółtych osobnikach, po bliższym a inteligentnym obejrzeniu ich, rozpoznajemy naszych dobrych znajomych, krewnych, dłużników, a nawet wierzycieli, wyglądających jakoś *międynarodowo...*

Maskarada ta, to wesoły korowód powracających na leża zimowe letników, którym słońce zmieniło czasowo wygląd, kładąc im na twarz maski zdrowia, krzepkości i radości z siebie. Wrócili do swych starych kątów i zajęć, stwierdzając, że życie może być piękne, oile człowiek wyjdzie z nudnego futerału kręcenia się dookoła siebie, jak foksik za ogonkiem.

Zwożą nam też teraz pociągi całe lazarety

familijne wymokniętych doszczętnie letników z Podtatrza czy innych Zimnych Wód. Są to wspomniani powyżej *krędowno-biali*, którzy oprócz wrażeń sielskich przywieźli sobie z letnisk *katary*, *reumatyzmy*, *artretyzmy*, zajęcie różnych „szczytów“, *fluksje* i t. p.

Tych trudniej będzie wciągnąć do propagandy radości z życia i kompromisu z miejską egzystencją, choć znów łatwo im się zgodzić na naszą apologję miasta: że gdyby wogóle nie wyjeżdżali, to itd.

Ale i wśród nich znać ożywienie, większe niż u muchy w smole, której podobieństwo niebawem przybiorą, gdy dopuszczą do miejskich swych dni i serc gift i żal, że nie każdy może być — *Rockefellerem*, jadącym z jednych wakacyj na drugie, trzecie i dalsze...

Gdy pomyślimy, że niebezpieczny okres lata z porażeniami słońcem, zmijami, utończeniami, wściekliwością i czerwonością minął, to nawet może nam się zrobić przyjemnie, po sprawdzeniu w miejskim lustrze, iż mimo tytułu wysiłków skręcenia karku lub popsucia sobie żołądka, wróciliśmy z letnisk cali i zdrowi.

Taka konfrontacja ma dużo wdzięku, bo po niej pogodzeni z losem łagodniej wkroczymy w erę *jesieni* której gama miejska jest też bogata.

Jesień, tak na pierwszy rzut oka, ma w sobie dużo z bujającego fotela lub nokturnu granego na czeskiej okarynie (takie okaryny są najlepsze) — *Obie* usposabiają do rezygna-

cyjnych marzeń. *Marzenia jesiennie* są popularne, wyszły nawet na fortepian (walc) i udzielają się wszystkim, nawet urzędnikom zakładu czyszczenia miasta, pomijając już marzycieli zawodowych i sezonowych jak poeci, latarnicy, futrzarze, wytwórcy lodów, handlarze węgla, pejzażyści, muzycy lub inni nalogowcy. Opadające z drzew liście, chłodne uśniechy słońca, coraz wcześniej zapalane lampy — nastrajają nas melancholijnie, choć nieszkodliwie.

Smutek jesienny łatwiejszy jest jednak do przetrzymania przez wrażliwców, a takimi są przeważnie mieszczuchy, w mieście, niż na letniku, gdzie film jesienny przyrody i zjawisk na niebie jest przytłaczająco ponury i jedynie zdrowe natury prowincjonalistów, nie reagują na tę beznadziejnie fioletową rozpacz lub cichą paranoję. Poprosto piją oni wodę lub lupią w karty. W mieście wólew jesienni ujawnia się inaczej np. protokoły policyjne i sędziów śledczych, notują w tym czasie więcej wypadków *przynawania się podsądnych do win*, malarze, poeci, turyści poczynają się oglądać za *uczciwym zarobkiem* i *zaopatrzeniem na zimę*, wielu z desperacji *zarecza się* lub nawet *żeni*, *pieszcząc* zaś w upały zamiary *samobójcze*, odkładają je na później i wstępują na urzędy w magistracie, wierzyciele folgują bankrotom i układają się z nimi, — słowem ogarnia nas *determinacja i współczucie dla bliźnich*. Spacerują kró-

cej, randki przenoszą się do lokali murywanych z piecem, wielu zagląda na cmentarze, większość jednak chodzi do kin, bo tam jeszcze nikt nie umarł.

W *rumu umysłowym miasta*, jesień zaznacza się w wykresie wysokim skokiem krzywej, zwłaszcza w dziedzinie *pięknych zamiarów*. W księgarniach idą najczęściej podręczniki szkolne, przepisy na robienie konfitur, kwaszenie kapusty, dzieła Schopenhauera i samouczki językowe. W jesieni bowiem wielu rozpoczyna *inne nauki*, aby je przed zimą poniechać w muzyce uprawiane są *marsze pogrzebowe*, „*Taniec szkieletów*“, „*Pochód na szafot*“, „*Córka kate*“ i t. p. Takie utwory bowiem koją nasz smutek i godzą z powakacyjną melancholją.

Ale to wszystko jeszcze za mało, najlepiej będzie, gdy ustosunkujemy się do egzystencji powakacyjnej po *Jewreinowsku*, tj. *teatralnie*, nie przestając być dalej *wewnętrznymi na wakacjach*.

Grajmy dalej i w domu *gości letnikowych*, nie sobie nie biorąc zbyt do serca i na wesoło odnosząc się do zmarłych miejskich. Niech się konie, albo lepiej jeszcze, słonie martwią, bo mają większe od nas głowy.

My traktujmy życie jako mniej udaną *wycieczkę*, z której przecie jest wyjście, np. — do kryminału, lub do krematorium. *W-laj* wybór stoi zawsze przed nami otwartym — *Nie traćmy kurażu!*

sówki, wijąca się tak cudnie wśród wzgórz i lasów koło Sulejowa i Spaty — tu, bliżej ujścia, jest jakaś dziwnie sztywna, nieswoja. Zato lasy wrażliwe godne są poznania — po wczorajszym smażeniu się wspaniale się dziś czuje w odludnej, chłodnej krainie cienia. Mocno jednak tę krainę już przerezedzono — wszędzie, gdzie mógł, wdarł się człowiek, podobował wioski, na miejscu puszczy orne rozpostarł pola. Od Franciszkowa lasów niema już zupełnie, jesteście znów wśród żyta i ziemniaków, wśród wiosek ciągnących się długimi sznurami w cieniu smukłych topoli.

Jedliński! Miasteczko na „cywilizowanym“ szlaku warszawsko-radomskim. Mały placik przy gościńcu wystrojony jako tako — na przyjęcie gości z Warszawy i Radomia. Zato właściwe rdzenne miasteczko — biedne, zaplakane, bez bruków, chodników i światła, pełne nigdy niezamiatanego śmiecia, tonące w brudzie.

Kościół z XVII w., z dwiema wieżami, dominuje nad rynkiem. Kiedyś osobliwością Jedlińska były podobno raki, z których miasto słynęło daleko i szeroko, wskutek czego gród ten ma raka w herbie.

Jestem już nieco zmachany 30-kilometrowym marszem — do Radomia mam jeszcze ponad dwie godziny drogi. Moi poczciwi nowi znajomi doradzają mi, abym się już dzisiaj nie męczył i pojechał do Radomia — tramwajem.

— Co? W Jedlińsku tramwaj?!

Ach — oni tak nazywają poprostu — radomski autobus magistracki, który się tu parę razy dziennie zapuszcza.

Po solidnym wypoczynku, już pod wieczór, prostuję kości i — ruszam dalej. Po zachodzie słońca, o chłodku, idzie się przyjemnie i rażno. 10-ta wieczór — światła, kamienie, dorożki, reklamy świetlne — przedemną: Radom. A za sobą mam — tego dnia — 44 kilometry. Spaci!...

Radom — pierwszy wielki ośrodek miejski na moim szlaku. Kto przyjeżdża do Radomia z Warszawy, jest zawsze zlekka ironicznie nastawiony w stosunku do tej bądź co bądź prowincji. Ja jednak przybywam — z Warki i Jedlińska. Jestem więc pełen szacunku. I — żart na stronę — Radom jest szacunku w pełni godzin.

Świetna jest przeszłość Radomia — leżąc na szlaku krakowsko-mazowieckim, na przecięciu najważniejszych traktów, był on niegdyś jednym z głównych naszych grodów sejmowych. Za Rosjan stolica gubernji, dziś — administracyjnie zaledwie miasto powiatowe. To jednak nie przeszkadza mu zajmować coraz wybitniejszego stanowiska gospodarczego. Dzisiejszy rozwój zawdzięcza Radom — podobnie jak i przed wiekami — swemu centralnemu położeniu, jest on ośrodkiem naszego „trójkąta bezpieczeństwa“, w którym ze względów strategicznych ułożone są najważniejsze obiekty przemysłu wojennego.

Niewiele zachował Radom ze starych zabytków. Godzi się zobaczyć dwa kościoły gotyckie, zwłaszcza — św. Katarzyny. Wchodzimy z ulicy Żeromskiego, głównej arterji handlowej, głośnie, ożywionej, w cementarż kościelny i od razu jesteśmy jakby w innym świecie, w innym stuleciu. Sliczny gotyk ceglany o zębatym przyczółku, pełen nastroju, cieniasty dziedzińczyk, wewnątrz świątyni stare nąpół wytarte malowidła i grobowce z łacińskimi napisami, które przyjemnie jest odcyfrowywać... Kościół pochodzi z połowy w. XV. Starszy, bo Kazimierzowej sięgający epoki jest kościół farny na starym mieście, przy ul. Rwańskiej. Również gotyk ceglany, z bardzo piękną wysmukłą wieżą.

Tuż za farą rynek, z okazałym acz sztywnym i zimnym ratuszem. Miłe wrażenie czynią dwie stare kamieniczki z atykami, doskonale utrzymane.

Ale wróćmy do nowego Radomia, na ulicy Żeromskiego, na plac Trzeciego Maja, który coraz energijnie odbiera rynkowi jego reprezentacyjne w mieście stanowisko. Ruch w centrum wielki. Główne ulice zabudowane porządnie, starannie, przeważnie dwupiętrowymi kamienicami. Sklepy kulturalne, czyste. Miasto robi wrażenie ośrodka o wielkiej sile ekspansywnej. Życie przemysłowe tętni bujnie, na przedmieściach — zwłaszcza ku Glini-



Fragment rynku z kościołem w Jedlińsku.

com — dymią kominy, a ulice śródmieścia pełne są biur dyrekcyjnych. Upadł wprawdzie w Radomiu, jak i gdzieindziej w Polsce przemysł garbarski, który ongiś czolowę tu zajmował stanowisko. Rozwinął się natomiast szeroko — przenysł — metalowy, ceramiczny, szklany, piwowarski, drzewny (największe w Polsce fabryki mebli giętych oraz fornierów). Monopol tytoniowy, który posiada tu fabrykę, mieszczącą się w starych budynkach, wznosił niedawno kolosalny gmach wielopiętrowy, który góruje nad Nowym Światem. No i wreszcie — potężna, osobna jak gdyby miasto stanowiąca — fabryka broni, która wytwarza również znane już dziś w całym kraju rowery z „Lucnikiem“. Wokoło fabryki — imponująca kolonja mieszkaniowa dla pracowników, cała nowa dzielnica!

W parze z rozwojem ekonomicznym idzie — rozwój urządzeń miejskich. Prowincjonalne zaniedbanie (z wyjątkiem — bądźmy szczerzy — bruków) należy tu do przeszłości: są wodociągi, kanalizacja, gazownia, wzorowo przebudowana elektrownia, lazienki publicz-

ne, wcale wygodne autobusy miejskie i wkońcu — podziwianie, narody! — przystanki świetlne, ściśle na warszawskich wzorowane. Bardzo ładny park, eleganckie restauracje, kawiarnie z muzyką, dancinży, okazałe kina (jest i jedno dźwiękowe). Pominąłbym jeden z najpiękniejszych fragmentów nowego Radomia, gdybym nie wspomniął o prześlicznym modernistycznym budynku sejmikowym. Ładną nową siedzibę ma też Bank Polski — przy placu 3 Maja.

Zaiste — wiele ciekawych rzeczy zobaczyć, wiele nauczyć się można w Radomiu, mieście, które ponimo bliskości stolicy nie żyje — jakby się zdawać mogło — jej odpadkami, czu, że to tętno, jakie tu pulsuje, nie jest odgosem jakiegoś obcego dalekiego motoru, ale jest przejawem własnego, tutejszego, radomskiego życia.

Z Radomia — dalej na południe. Kończy się senna mazowiecka równina, nareszcie, nareszcie zarysowały się lekliwe jeszcze pagórki — radosne przecucie dalekiego pasma Świętokrzyskiego!

Skaryszew! Miasteczko o 3.000 mieszkańców, czyste, solidnie utrzymane. Powiedziabym — antyteza Jedlińska: nie spotykam tu ludzi, wrywających się wszystkimi siłami na szeroki świat — tu wszystko wrosło kożeniami w glebę rodzimą. Skaryszewianie kochają swoją miejscinę, kładą wiele zbiorowego wysiłku w to, aby ją podnieść, upiększyć. Wykołatali w Warszawie już przed kilku laty samodzielną administracyjną: są miastem, a nie — jak dawniej — osadą, majoryzowaną przez okoliczne wsie. Ulice i rynek porządnie wybrukowane, utrzymane we wzorowej czystości. Nawet i o regulacji się myśli — właśnie przeprowadzają nową ulicę, która w dogodniejszy niż dotychczas sposób połączy wschodnią część rynku z gościńcem itzeckim. Najbardziej wszakże zaimponował mi fakt, że ta mizerna dziura zbudowała sobie własnym sumptem elektrownię komunalną, i to nie w celach dochodowych, (zakład nie daje ani zysków ani strat), ale poprostu — aby podnieść miasto na wyższy poziom kultury materialnej!

Wieczór. Na rynku zapalają się latarnie. Na ławkach siedzą gospodarze z fajami w ustach i gwarzą sennie. Około stu tylko jest w Skaryszewie rodzin kupieckich i rzemieślniczych. Reszta — to rolnicy. Przyjmuje mnie na nocleg jeden z najstarszych gospodarzy. Siedzimy sobie przed domkiem, wprost kościoła, który ponoć parę lat temu, w czasie huraganu, stracił wysmukłą wieżę. Skromny baroczek — z początków XVIII w.

Jakiś umorusany biedny stary Żyd prowadzi przez rynek dwie krowy.

— Widzi pan — powiada mój gospodarz — to jest ławnik miejski. Bogaty, ho ho, — coś 100.000 złotych ma odłożone!

W zapadłej prowincji zdarzają się takie niespodzianki. W wielkim mieście podniesienie zamożności wywołuje odrazu zmianę trybu życia, mieszkania, ubrania. Tu — ludzie bogacąc się, jakże często żyją nadal tak samo, jak żyli w biedzie. I jakże często pod nędzną i współczucie budzącą powłoką małego miasteczka kryje się — solidna, gruntowna zamożność.

— Ot — i mój gospodarz. Człowiek, który ma duże gospodarstwo rolne, kilka koni, pięć krow — mieszka wraz z żoną i dziećmi w jednej izdebce potwornie brudnej i dusznej. W tej samej izdebce gnieżdżą się masowo — króliki i kury. Człowiek ten mieszkał zapewne tak samo, gdy miał tylko jedną krowę, albo gdy jeszcze wogóle nic nie miał, — i tak samo mieszkać i żyć będzie, gdy odłoży sobie 100.000 złotych...

Przeżywam moment tragiczny — mam bowiem ochotę przespać się na sianie, w prześwietnej stodole, gospodarz jednak jest zdania, że to ubliżyłoby mej godności:

— E, co też pan mówi — jakżeby pan pozwolił panu z Warszawy spać w stodole?! Chąc nie chcąc, muszę przyjać — „honorowy“ barłóg, mocno niestety brudny i wymiętoszony...

Wilhelm Sztrancman.



Widok na wieżę kościoła farnego w Radomiu.

STANISŁAW LESZCZYCKI.

Rozwój komunikacji tramwajowej w Polsce.

(Na marginesie Wystawy Kom-Tur. w Poznaniu).

Anglja ojczyzną tramwaju. — Tramwaj w Polsce. — Zalety i wady komunikacji tramwajowej. — Statystyka ruchu tramwajowego w poszczególnych miastach.

Kraków, 31 sierpnia.

Pośród wielu ciekawych działów na tegorocznej Wystawie Komunikacji i Turystyki w Poznaniu, znakomicie reprezentowany był dział komunikacji tramwajowej. Pawilon wyposażony był bogato w statystykę i najnow-

sze modele wozów krajowych i zagranicznych. Reprezentowane były prawie wszystkie ośrodki, posiadające komunikację elektryczną, zorientować się więc można było łatwo w dzisiejszym stanie i rozwoju za ostatnie 10-letcie teŹe komunikacji.

TADEUSZ BILIŃSKI.

MAŁŻEŃSKIE WYWCZASY

(Historja z prawdziwego zdarzenia).

— Baw się dobrze, a pisz często!
— I ty również...

Jeszcze jedno wszechogarniające spojrzenie, a w niem skondensowana tkliwość, czulość, melancholja i rzewny smutek.

Pociąg ruszył. Tonio wydobyl pośpiesznie chustkę, począł nią wywijać, idąc obok wagonu, z którego wybyła raz jeszcze „łzawo“ uśmiechnięta twarz jego żony. Za nim szła jakaś niewiasta i powiewała również chustką ku wychylającemu się po pas mężczyźnie, który posyłał jej raz po raz całusy.

W pewnej chwili Tonio przystanął, kiedy pociąg opuścił halę i rozplynał się w oddali, i, westchnąwszy (z żalu czy też z... ulgą?), zawrócił ku wyjściu. Przed nim szła nieznanajoma. Chąc nie chcąc Tonio musiał zauważyć, że ma przed sobą parę bajecznych nóżek, obciążających pajęczyną miedzianej pofoczoszki. Reszta wydawała się niezgorsza, o ile można było stwierdzić z tyłu. Tonio przyspieszył kroku, ale o tyle tylko, aby nie spłoszyć „zwierzyny“ i, wymijając ją, spojrzal przelotnie a wnikliwie w twarz...

— Klasa! — zaopiniował, więcej z nałogu niż z... przekonania i uśmiechnął się na... wszelki przypadek. Z pod przesłony długich rzesz wyrzały na chwilę turkusowe oczy... trochę zdziwione i zaniepokojone i... odważymy — tak przynajmniej zdawało mu się — jego uśmiech...

...Przywalił się, czy nie?! — wahał się — a... może nie wypada... tak zaraz po odjeździe żony?!... a... zresztą... było nie było... spróbować nie zawadzi...

Tonio odwrócił się twarzą ku nieznanajomej, która zwolniła kroku i... badał sytuację. — W kącikach ust pięknej blondynki dojrzał ledwo dostrzegalny uśmiezek... To go zachęciło... Ale jak zacząć?! mam już mam.

— Przepraszam za śmiałość — zdobył się na odwagę, uchylając kapelusza — ale o ile mi się zdaje — laskawa pani — to oboje jesteśmy w podobnej sytuacji... Ja odprowadziłem żonę a... pani zapewne... męża?!...

— Pozwoli Pani, że się przedstawię... Teodor Link, inżynier.

Nieznanajoma przyspieszyła kroku, jak gdyby chciała uciec przed natrętem.

— Laskawa Pani jest zapewne oburzona na moją śmiałość... Rozumiem i przyznaję rację, że ulica nie jest stosownie miejscem do zawierania znajomości... i proszę z tego powodu nie sądzić źle o mnie... ale ta niezwykła a podobna dla nas obojga... sytuacja...

— — — ?!

— Myślę właśnie o tem, że jesteście oboje „słomiani“... ja „wdowcem a laskawa Pani... „wdową“...

— — — !

— Jeśli laskawa Pani czuje się dotknięta moim natręctwem i życzy sobie, abym odszedł to... przepraszam najmocniej... i uchylił znów kapelusza, jak gdyby zamierzał odejść.

— No, bezczelności to Panu nie brakuje! odezwała się wkońcu, osaczona „zwierzyną“ i obrzuciła natręta „wyniosłem“ spojrzeniem;

głos jej jednak świadczył nie tyle o wzburzeniu, co raczej o „sui generis...“ uznaniu dla „wytrwałości“ Tonio.

...Nareszcie — zatriumfował w duchu Tonio, dumny, że atak „flankowy“ odniósł sukces i „obraz przemówił“.

Po wyrzuceniu z „martwego punktu“ rozmowa skleciła się jakoś i potoczyła się już gładko i Tonio dowiedział się wszystkiego, co mu było potrzebne. A więc, że: „piękna pani nie mogła towarzyszyć mężowi w podróży do Zakopanego, ponieważ musiała pozostać przy chorej matce, że mąż, który jest prokurentem banku, rozpoczął kilkutygodniowy urlop na który pojechał sam i... że... ostatecznie może nie miałaby nic przeciwko temu, aby — jak to proponował Tonio — pójść któregoś wieczora do kina, skoro Tonio, który urlop swój zaczynał dopiero za kilka tygodni nie uważa za konieczne „skazywać się“ na nudy.

Ani się sposterzegli, jak znaleźli się przed domem pani Olgi Zarskiej.

— Do widzenia...

— Do rychłego zobaczenia...

Z „ciężkim“ westchnieniem oderwała się pani Nina od okna, kiedy sylwetka męża powiewającego chustką rozplynała się w oddali. Weszła do przedziału, gdzie siedział jakiś pan w „sile wieku“ i czytał „Kuryera“.

Aby zabić nudę wlokącej się beznadziejnie jazdy, sięgnęła do torbki podręcznej po Wallace'a „Lowcę głów“.

— 6 godzin — myślała z przerażeniem i żal miała do męża, że nie pojechał z nią razem do Zakopanego. Wogóle nie mogła opędzić się przykreemu wrażeniu, że mąż przyjać jej odjazd z pewnem, nie dającym się ukryć

zadowoleniem, chociaż minę miał oficjalnie dość przeciągniętą...

„Naturalnie... tylko czekał na to, aby móc „zażyć“ wolności i swobody — rozgoryczyła się — i teraz zapewne układa już sobie plan kampanji donjuńskiej na czas najbliższy. „Oh... wstrętni ci mężczyźni“. Aby zamanifestować swój wstręt i pogardę dla wszystkich mężczyzn... bez wyjątku, wydeła z niesmakiem usta i odwróciła się gwałtownie do okna; zwłaszcza, że poczuła wzrok podróżnego z naprzeciwka, łakomie pełzający po jej smukłych łydkach od bucików po kolona.

Pan z „chciwymi oczyma“ zakrył się, dla niepoznaki, gazetą i udawał naraz niewiniątka, co jednak nie przeszkadzało mu od czasu do czasu terknać poprzez płachtę dziennika, ale już krótko i „rzeczowo“. Pani Nina rozpląszczyła rasowy nosek o szybę okna i ze skupieniem usiłowała liczyć białe słupki kilometrowe; ale to nie bawiło ją długo i powróciła znów do lektury kryminalnego romansu; cóż kiedy żadną miarą nie mogła odnaleźć się w mocno pogmatwanych perypetyjach kryminalistycznych i z tępą rezygnacją postanowiła nudzić się... bez książki. W pewnej chwili wzrok jej mimowolnie poszybował w stronę pasażera, który — widocznie już całkiem skruszony — rozczytywał się zapamiętale w „Kuryerze“.

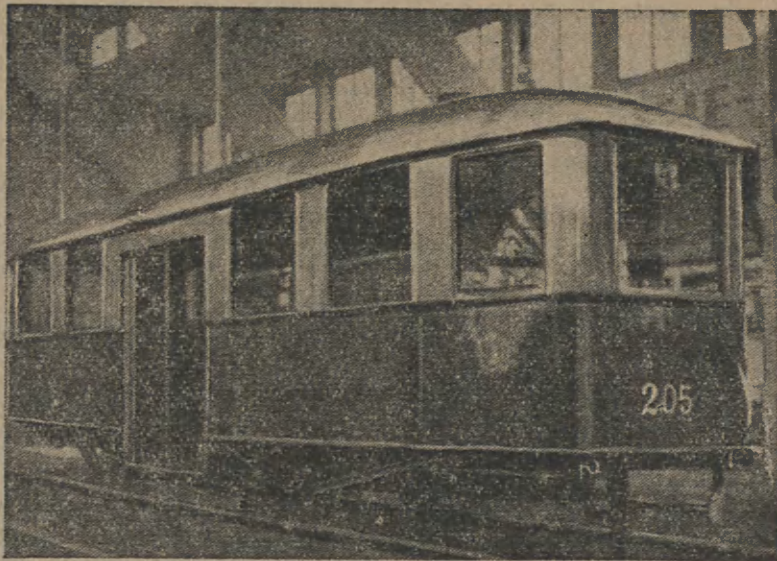
Pani Nina stwierdziła — tak sobie od niechcienia — że jest wcale... wcale „do rzeczy“ gustowny krawat... dobrze skrojony sportowy garnitur... zgrabna noga... włosy starannie przyczeszone, osrebrzone na skroniach, rysz regularne... nos trochę krogulczy... a oczu nie widziała, bo utkwione były w gazetę.

W tym okresie zjawiał się tramwaj na ziemiach polskich, wprowadzono go z wielkim zapędem do miast, a nawet większych miasteczek. Rozwój kończy się z okresem wojny. Zmiana systemu gospodarczego po wojnie wywołała chwilowe ustępowanie tramwaju (lokomocja sztywna i powolna) przed nowoczesnym autobusem. Obecnie znajdujemy się w okresie ustosunkowania się obu systemów, komunikacji pasażerskiej, miejskiej. W Londynie usunięto tramwaje ze śródmieścia, pozostawiono na peryferiach. W innych stolicach Europy projektuje się to samo. Należy zauważyć, iż we wszystkich miastach wprowadzono ostatnimi laty, obok tramwaju, stałą komunikację autobusową.

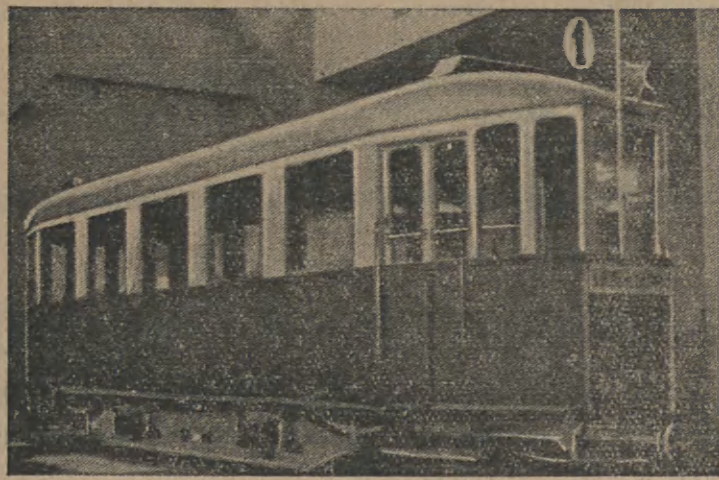
Komunikacja tramwajowa ma jednak tyle pierwszorzędnych zalet, iż w wielu wypadkach jest nie do zastąpienia. Przedewszystkiem częstotliwość ruchu i taniść przejazdu. Rozpołożenie sieci dostosowane jest zawsze do potrzeb mieszkańców, linie wychodzą z peryferii, przebiegają przez centrum miasta, z tego powodu otrzymuje się silne skupienie linii, a tem samym wielką częstotliwość. (Berlin, Budapeszt, Wiedeń, Bruksela średnio co 1/3 minuty w śródmieściu wóz przebiega). To pozwala w krótkim czasie na przebycie znacznej przestrzeni w każdym kierunku. Prócz tego wprowadza się turystyczne okrężne linie, które również zagęszczają ruch w śródmieściu.

Koszt przejazdu tramwajem są znacznie mniejsze, niż autobusu lub innego pojazdu mechanicznego, dlatego dobra kalkulacja pozwala na wyjątkowe obniżenie cen. W Polsce: tramwaj za 1 km 6 gr (ceny biletów), autobus 12 gr, taksówka 80 gr, dorożka konna 80—100 gr. Szybkość jest niezbyt wielką, dochodzić może do 25 km/godz. (peryferia wielkich miast), lecz zmniejsza ją ruch uliczny i bezpieczeństwo publiczne. Jednak przez częstotliwość ruchu, usuniętą bywa po-

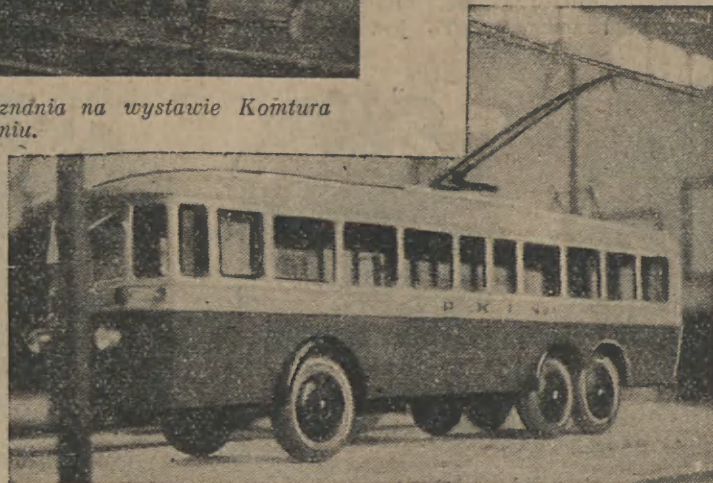
wolność, a podniesioną pojemność, dlatego też możliwa jest taniść decydująca o masowej frekwencji. Wadami jest hałasliwość,



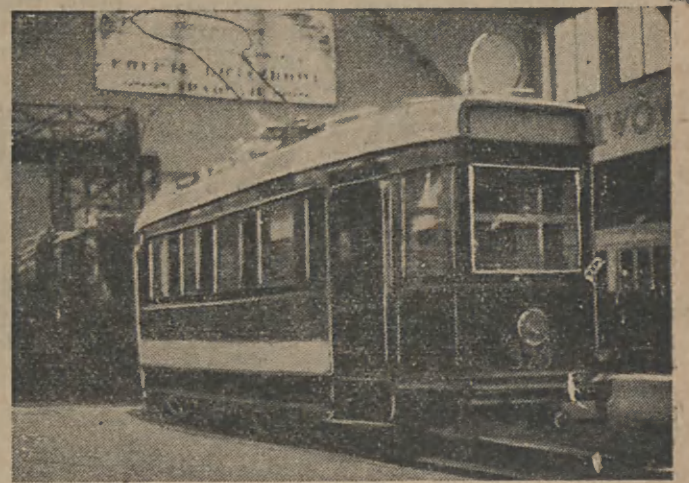
Wóz przyczepny tramwajowy m. Poznania na wystawie Komtura w Poznaniu.



Wóz tramwajowy m. Lwowa na wystawie Komtura w Poznaniu.



Trolleybus m. Poznania na wystawie Komtura w Poznaniu.



Wóz tramwajowy m. Warszawy na wystawie Komtura w Poznaniu.

kolej 174 milj., autobusy 57, kolej wąskotorowa 1.1, aeroplany 15 tys.). Od roku 1920 frekwencja wzrosła o 100%, wynosiła 269 milj. Warszawa posiada 201 km. długości linii tramwajowych, 545 wozów. W r. 1929 przejechano 103.233 km, co jednoliniźnie pozwoliłoby na opasanie 2 1/2 razy kuli ziemskiej, przewieziono 249 milj. osób, dających obciążenie 6.4 na 1 kilometrówóz, co równa się 1/4 całej ludności Europy. Frekwencja dzienna wynosiła 686.344 biletów, czyli 62 proc. ogólnej lud-

sztywność sieci, nieestetyczność przewodów elektrycznych; są to jednak cechy mało znaczące, a szczególnie w porównaniu z taniścią, częstotliwością, pojemnością i regularnością.

Jako sensacyjną „nowość“ wprowadza Poznań „pierwszy trolleybus“ (patrz. fot.) tj. autobus popędzany trakcją elektryczną, jako środek lokomocji pośredni między tramwajem a autobusem. Z czasem okaże się użyteczność i zastosowanie tego „nowego“ środ-

ka lokomocji. Zagranicą mimo szeregu prób nie spopularyzował się on nigdy.

Spółki i przedsiębiorstwa tramwajowe zorganizowane są w centralny Związek Przedsiębiorstw komunikacyjnych w Polsce. Komunikacja tramwajowa istnieje w 11 miastach: Warszawa, Łódź, Poznań, Lwów, Kraków, Bydgoszcz, Toruń, Grudziądz, Białą-Bielską, Inowrocław, Tarnów*). Łącznie wypożyczenie wynosi 1318 wozów (w 1920—992). Przewieziono 458 milionów pasażerów (gdy

* Niestety, brak woj. śląskiego, które do Związku nie należy i w Kom. Turze nie wzięło udziału.

ności Warszawy. Od roku 1920 wzrosła długość linii 2-krotnie, frekwencja zaś 3-krotnie.

Łódź. Długość linii 47 km (1920—24 km), tabor liczy 150 wozów silnikowych, 160 przyczepnych. Na 1 mieszkańca wypadła 144 jazdy rocznie. Obciążenie 1 wozokm. wynosi 7.0. Frekwencja doszła w 1929 do 87 milj. osób (1/3 mieszkańców Polski). Rozwój silny, linie wzrosły 2-krotnie, frekwencja o 60%. Łódź ma najsilniejszy ruch tramwajowy z całej Polski.

Poznań. Długość linii 28 km, tabor 185 wozów, frekwencja roczna 33.307.980 osób, co daje na 1 mieszkańca 134 jazd. Przejechanych wozokm. 4.5 milj. Szybkość handlowa z 11.2 (przed wojną) wzrosła na 14.6. Rozwój linii o 30%, frekwencji 3-krotnie.

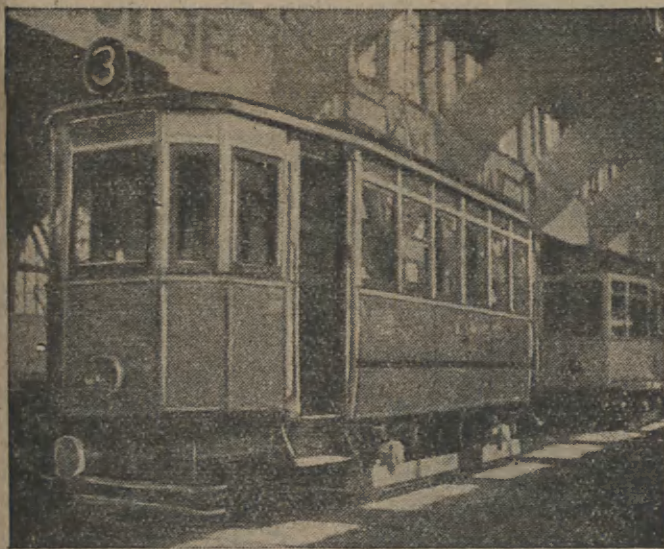
Lwów. Długość 24 km, frekwencja 56 milj. tabor 179 wozów, przejechanych wozokm. 8.9 milj. Ruch 2 razy silniejszy niż w Poznaniu. Wzrost o 62%.

Kraków posiada 6 linii o długości 23 km. Frekwencja dochodzi do 21 milj., na mieszkańca więc wypadła 100 jazd rocznie. Wozokm. 3 milj. Dziennie na wóz wypadła 7.2 km. Rozwój o 25%. Spółka posiada tramwaje wąskotorowe obok normalnotorowych.

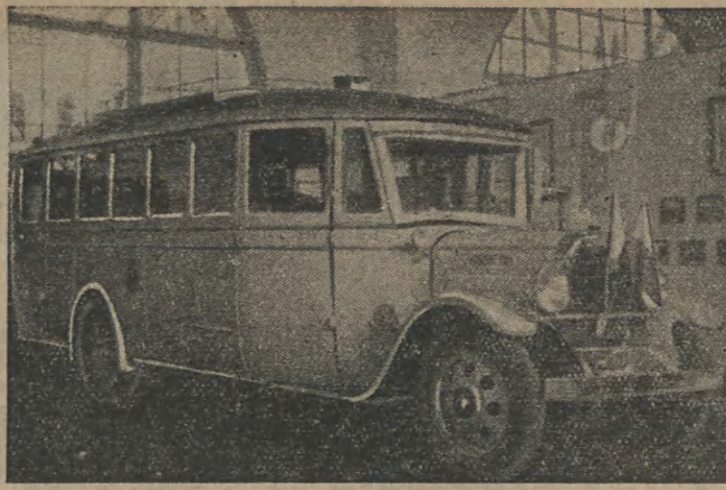
Toruń posiada 12 km linii, frekwencja około 5 milj., na 1 wozokm. wypadła 5.6. Wzrost ruchu 2-krotnie.

Bydgoszcz trzy linie o długości 12 km, tabor 37 wozów, zatrudnionych dziennie 8 wozów, obciążenie 5.8, frekwencja względna 20% mieszkańców miasta.

Bielsko-Biała linia poza miasto (Cygański



Wóz tramwajowy m. Krakowa na wystawie Komtura w Poznaniu.



Nowoczesny autobus komunikacyjny na stoisku Krakowskiej Spółki tramwajowej na wystawie Komtura w Poznaniu.

Na to wszystko wystarczył jej jakiś ułamek sekundy, bo zaraz „uciekle“ z oczyma do książki, aby nie zdążył zauważyć tej lustracji.

Ale jego czujnemu a raczej przyzwyczajonemu oku nie uszło to muśnięcie spojrzeniem zadanej towarzyszkii i już zachęcony począł śmiejąc i bardziej jeszcze zachłannie wodzić żarłocznymi oczyma już nie tylko po jej nóżkach, ale i wzdłuż wzorowej linii bioder i ramion i z uznaniem zatrzymał się dłużej na efektownie „zrobionej“ twarzyczce z ciemną krwistą rysą ust, starając się wślizgnąć pod powieki skrywające zazdrośnie tajemnicę, aby tam zapuścić sondę wnikliwego spojrzenia.

Panią Ninę drażniły ale i... ekscytowały mile te chłonne, uporczywe spojrzenia, przebiegające celowo i systematycznie wzdłuż i wszerz wypielegnowanego ciała. Czuli, że prawdziwie się podoba i... zapagnęła podobać się jeszcze bardziej, dlatego otworzyła torebkę i stwierdziwszy w lusterku, że „ton“ twarzy ucierpiał znacznie z powodu upału, poczęła dyskretnie przypudrowywać koniec noska i umiejętnie rozprowadzać pyłek pudru po całej twarzy. Z kolei zwilżyła nieco językiem usta i „zrobiła“ je wprawnie sztyfcikiem karminu i poprawiwszy, ale już tylko palcami, wąski łuk brwi, zamknęła z powrotem torebkę i usunęła się głęboko w plusz siedzenia, a oczy zapatrzone w „głęb swoją własną“ utkwiła ponad głową swego „vis-a-vis“ w... jego walizce.

Nagle książka, porzucona przez panią Ninę, obsunęła się i spadła z hukiem na podłogę. Towarzysz podróży porwał się szybko i podniósł „Lowcę“.

— Dziękuję...

— Proszę bardzo... A... może służyć Pani „Kuryerem“, „Światowidem“, „Wróblami na dachu“?... bo — o ile mogłem zauważyć — Wallace nie zdołał łaskawą Panią zainteresować na dłużej...

— Dziękuję... a zresztą — skoro Pan już tak uprzejmy, to... poproszę o „Światowida“... — Służę... Pani zapewne do Zakopanego? — Tak jest... — I to niezawodnie... szanowny małżonek... odprowadzał Panią na kolej?!...

— Tak... — Podobnie jak i mnie moja żona, która, niestety, nie mogła razem pojechać ze mną do Zakopanego....

Rozmowa zawiśla w powietrzu. Pani Nina poczęła przerzucać ilustrację, a pan z „żarłocznymi oczyma“ powrócił z „wymownem“ westchnieniem do swej lektury.

— Pozwoli Pani — odezwał się — „odczeka-kawczy chwilę“ — że uczynię to, co zwykło robić się dopiero wtenczas, kiedy przygodni towarzysze podróży rozstają się ze sobą, t. j. przedstawię się... Ludwik Żarski... bankowiec...

Pani Nina wyciągnęła z wahaniem rękę, na której Żarski wycisnął wachysty pocałunek, przytrzymując ją dłużej.

— Linkowa...

Teraz już było rzeczą inwencji, wymowy i wrodzonych Ludwikowi zdolności causeura, aby rozmowę, tak opornie nawiązaną, utrzymać i poprowadzić zajmująco, błyskotliwie, w miarę nawet pikantnie, to znów w tonie zwierzeń, któreby — od biedy — mogły uchodzić na szczerze.

Specyficzna atmosfera „pociągowa“ sprzyja bowiem — jak rzadko która — zwierze-

niom i „wylaniu“; ludzie zupełnie obcy czują nagle potrzebę dzielenia się swymi przeżyciami i pozwalają wglądać — jeśli już nie w samą „głęb“ swych dusz — to przynajmniej do jej „przedśionka“ i to, czego by nigdy nie powiedzieli przygodnemu sąsiadowi, n. p. w teatrze, czy w tramwaju... lub w restauracji, mówią bez zastrzeżeń towarzyszowi podróży w pociągu.

Ludwik Żarski posiadał w znacznym stopniu ów kunszt zainteresowania swoją osobą kogoś, na kim mu zależało i emanował niejako ze siebie sympatyczną aurę. Naraz wydało się pani Ninie, że tego człowieka zna już oddawna, że „łączy“ ją z nim więcej, aniżeli z niejednym z jej oficjalnych adoratorów z kawiarni i dancingu — i że... wogóle... gniew na męża już się gdzieś zatracił i ustąpił miejsca jakiejś wdzięczności, że tak stało się, a nie inaczej.

Wszystko „składało się doskonale“ — jak zwykł mawiać przyjaciel Żarskiego, pan Władzio Górka — i „znajomość z pociągu“ nie miała być efemerydą, skoro tak pani Nina, jak i pan Ludwik — całkiem przypadkowo — wynajęli ten sam pensjonat, jako miejsce sezonowego pobytu...

„Drogi Ludwiku, O ile wnosić mogę z Twojego milczenia, to musisz bawić się dobrze w Zakopanem tak, że nie masz czasu na napisanie kilku słów do żony. Nie sądzę jednak, że robię Ci z tego powodu wymówki. Owszem — cieszę się nawet, że tak jest i życzę Ci, abyś odpoczął należycie i „odprężył“ swe nerwy, na które tak często skarżyłeś się w domu. Spodziewam się, że Zakopane zrobi Ci dobrze i wrócisz odświeżony i bardziej

zadowolony z życia i z... otoczenia. Wyobraź sobie, że odkąd wyjechałeś, Mamie jest coraz lepiej. Ja — o ile nie czuwał przy mamie — chodzę nieraz do kina, aby nie uschnąć z nudów, przed którymi Ty uciekłeś do Zakopanego. Całuję Cię, Twoja Olga.

P. S. Aha... czy znasz może inżyniera Linka, którego przypadkowo poznałam?

„Drogi Toniu! Zapewne musisz gniewać się już na swoją Ninę, że tak długo nie pi-sze, ale — faktycznie — nie mogłam znaleźć wolnej chwili, aby skreślić kilka słów do Ciebie. Otóż — pensjonat mam dobry, wikt smaczny i obfity, towarzystwo wcale mile. Czuję się coraz lepiej, nerwy w porządku, w randuje, robię wycieczki dolinowe i kąpię się w Jaszczurówce, a od czasu do czasu tańczę u „Trzaski“. Znajomych z Krakowa nie brakuje, ale mało interesujących, chyba z wyjątkiem niejakiego Żarskiego, bankowca, którego poznałam w pociągu. Przepyszczam, że musisz go znać z widzenia... N. b. żonaty.

Czy bardzo tęsknisz za swoją żoną? Sądzę, że nie. Znajac Ciebie dobrze, ty stary łobuzie... tembardziej, że nie nie piszesz... zapewne musisz się bawić niezgorzej odemnie. Ale... nie zdradzaj mnie i pilnuj domu, aby nas nie okradziono. Całuję Cię. Twoja Nina. P. S. Prześlij mi moją drugą, liljową pyjamę, którą zostawiłam w szafie.

No... no.. traf, czy przeznaczenie?! mówili niemal w tym samym czasie Teodor Link i Ludwik Żarski, przeczytawszy listy od swych małżonek. I zadumali się głęboko.

Las) o długości 5.2 km. Frekwencje w 1896 — 0.3 milj., 1918 — 1.6, 1929 — 2.3 milj. Grudziądz 6.2 km linji, Inowrocław 3.0 km, Tarnów 2.5 km.

Wynika z przytoczonych cyfr, iż komunikacja tramwajowa rozwija się *wyśmienicie*, jej zastosowanie komunikacyjne i gospodarcze

zrozumiane jest przez szerokie rzesze społeczeństwa, taniósć i częstotliwość zadyceydowała o masowej frekwencji. Wydaje się, iż zastąpienie tramwaju autobusem jest *niemożliwe, niecelowe, dlatego* pozostanie jeszcze *bardzo* długo *najlepszym miejscowym środkiem lokomocji*.

KAZIMIERZ ALBERTI.

Wycinanki Karola Kłosowskiego

„Cicha“. — Kwiaty w Zakopanem. — Wycinanki ludowe. — Trzysta wycinanek Kłosowskiego. — Zastosowanie w zdobnictwie i grafice.

Kraków, 31 sierpnia.

Jest w Zakopanem przy Kościeliskiej domeczek niziutki, głęboko w ziemię wryty, prototyp domku góralskiego, który już zaczyna ginąć w Zakopanem. Domek ten nazywa się „Cicha“ i naprawdę jest to nazwa dla tego grzybka drewnianego, latem zaledwie wycierającego z pośród gęstwy kwiatów — bardzo odpowiednia. Tam mieszka artysta malarz Karol Kłosowski, który od lat walczy z przesądą, że hodowla kwiatów w klimacie górskim nie udaje się.

Podobnie, jak ten ogródek — wygląda i cały dom *wewnątrz*. Mieszkanie ręką artysty wymalowane, wyrzeźbione, wyścielone. Ściany, sosreby, sufity, odrzwia, wszystko nosi piętno ręki dbalej o głęboki, niecodzienny arcyzm.

Z pośród wielu a różnych techniką prac tego artysty wyszczególnić należy wycinanki, wzorowane na motywach ludowych.

Wycinanka ludowa! Co za magiczne słowo! W czarnej chałupie, zimowymi wieczorami nieuczona ręka chłopca, dziewczyny wie-

skiej lub dziecka, wycina je z papierów kolorowych. Zjawy dziwaczne, serca, gwiazdy, wróżki i anioły, kwadraty i wstęgi, koła i ptaki, trójkąty i liście, duchy święte, gołębie skrzydlate, strzygi i zwierzęta. To jest



Wycinanki wielobarwne Karola Kłosowskiego.

ta prosta, nieskażona, naiwna i świeża tęsknota do sztuki.

Największym rozkwitem wycinanki ludowej cieszył się w Polsce koniec wieku XIX. Niestety, do wioski zaczęli przyjeżdżać kramarze odpustowi, sprzedając *ohydne oleodruki niemieckie*. Te wyparły barwną, prymitywną swojszczyznę w postaci *malowideł na szkle i pracowitych, naiwnych wycinanek*. Nie wszędzie jednak wycinanka zaginęła. W powiatach lubelskim i łowickim zachowała się w całej swojej zdrowej świeżości. Na wystawach zagranicznych nasza wycinanka ludowa budzi zachwyt swoją *egzotycznością*. Tu jest synteza form prostych, niewyszukanych, tu jest radość kolorytu, zdrowy ład i porządek, niewymuszoność i fantazja.

Z tego źródła wyszły wycinanki Karola Kłosowskiego, których artysta skomponował przeszło 300 sztuk. Były one na wystawach prawie we wszystkich większych miastach Polski. W Warszawie w r. 1928 wzbudziły żywe zainteresowanie publiczności i prasy. Jeden z poważnych krytyków pisał: „Tu bije źródło sztuki dekoracyjnej. Konkursy niczego nie dokonają, dopóki artyści nie pójdą wślada za Kłosowskim po droższe rzetelnych i szczegółowych studjów nad sztuką ludu i dziecka“.

Wycinanki te pochodzą z różnych lat, dając dokładny obraz rozwoju, zmieniając się jak w radosnym kalejdoskopie. Bo trzeba zaznaczyć, że niema dwóch wycinanek o motywie podobnym, każda jest inna. Kłosowski w swoich pierwszych wycinankach wyszedł z motywów naturalistycznych, zwłaszcza w wycinankach kwadratowych i rozetowych; tematy czerpał ze świata roślinnego i zwierzęcego: paw, motyl, rak, kłos, bławat były motywem wycinanki. W drodze ewolucji i tęsknoty do kompozycji głębszej przechodzi Kłosowski do form bardziej abstrakcyjnych i dlatego wycinanki ostatnie mają daleko poważniejszą wartość artystyczną. Do wycinanek brał także artysta motywy figuralne; tu wyróżnia się „Dziewczyna z kwiatami“, której reprodukcję zamieszczamy.

Wycinanki to praca iście benedyktyńska, autor śmieje się, że... „kryminalna“; jakież więc cel praktyczny?

— Komponując, nie myślałem o celu — mówi Kłosowski — wystarczy mi radość dziecinna, zachwyt i tęsknota tworzenia. O

celu pomyśleli ludzie, gdy zobaczyli moje wycinanki. Architekci orzekli, że nadawałyby się do dekoracji, jako fryzy. Inni, że mogą służyć do ozdób graficznych, okładek na książki, jako motywy do serwet, lampery, i szlaków.

Motywy do prac wycinankowych zbierał autor w różnych stronach Polski. Kompozycje niektórych „flunków“ mogą i powinny stanowić próby dostosowania ich do mebli salonowych.

Wycinanki Kłosowskiego zajmują poważne miejsce w polskiej twórczości dekoracyjnej.

Kącik ogrodniczy.

Jak się powinno zbierać owoce?

Kraków, 31 sierpnia.

Przy zbieraniu owoców należy przedewszystkiem zwrócić baczną uwagę na sposób i termin zbioru. Te dwa czynniki wpływają niezmiernie na trwałość i smak, na jakość i wartość owocu. Owoce, choć bardzo piękne, lecz w nieodpowiedniej porze zebrany lub obity, więdną i marszczy się, staje się gąbczasty, a temsamem przedko się psuje i gnije. Jest u nas powszechną wadą, że zbierany owoc przedwcześnie, a w dodatku nie pofachowemu.

Żądane więc jest przypomnienie choć po krótko, niektórych prawideł, co do zbierania owoców w obecnym czasie, choć letnie owoce kończą się, ale nadchodzi pora zbioru jesiennych i późnojesiennych.

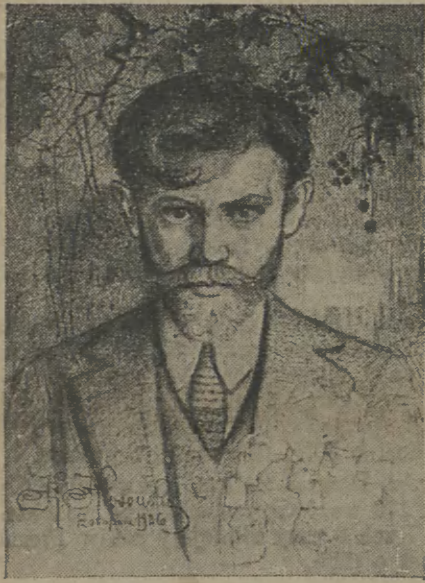
Staranna zbiórka owoców w każdej porze powinna być zastosowana, jednak najważniejszą jest w odniesieniu do późnojesiennych i zimowych.

Co do szczegółowego zbioru różnych owoców, to podzielić należy je na *ziarnkowe i pestkowe*, a pierwsze: na *letnie, jesiennie i zimowe*. Letnie jabłka zbieramy, gdy dojrzewają. Co do gruszek nie można do wszystkich gatunków tej reguły zastosować, gdyż jedne zebrane jako dojrzale, stają się *małoczyste i bez smaku*; jeśli inne zerwiemy *zawcześnie* robią się *wodniste*. To samo dzieje się, z niektórymi jesiennymi.

Co do jesiennych gruszek, to zebrać je należy z drzewa zawsze na 10 dni przed dojrzewaniem. Zimowe należy trzymać jak najdłużej na drzewach, do 10, a późno zimowe do 15 października, a czasem i dłużej.

Jabłka jesiennie zbierać należy od września do pierwszych dni października. Jabłka zimowe, zwłaszcza późne, zbierać od 10 października do drugiej połowy tegoż miesiąca. Nadmieniam tu, iż wyjątkowo w br. zbioru owoców można rozpocząć wcześniej o 10 do 15 dni, gdyż lato ciepłe przyspieszyło dojrzewanie.

Z pestkowych owoców nie pora teraz mówić o *wisniach i czereśniach*, gdyż czas ich

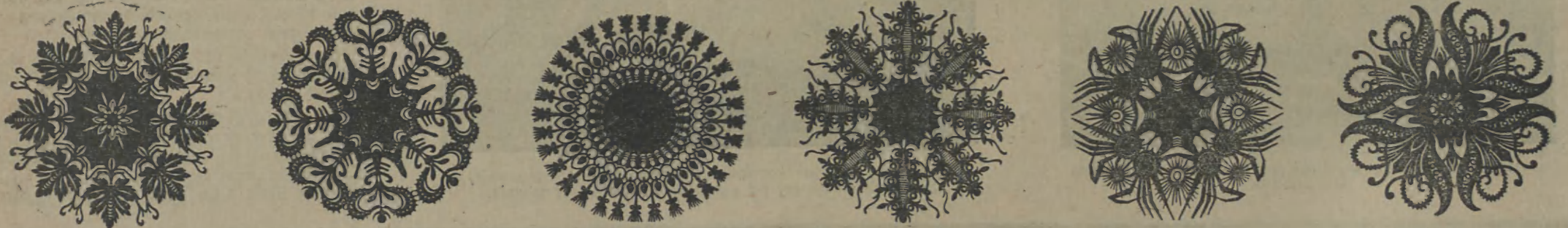


Karol Kłosowski: autoportret.



„Dziewczyna z kwiatami“.

Wycinanka wielobarwna Karola Kłosowskiego.



Wycinanki wielobarwne Karola Kłosowskiego.

DR STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI.

Aleksy Szantić jeden z czołowych liryków serbskich.*

W dzisiejszej — powojennej — literaturze serbsko-chorwackiej tak mało jest talentów, tak niewielu poetów, których czytać można z pewną przyjemnością, że chętnie sięgamy ręką po tomiki *poezji przedwojennych*, chętnie cofamy się do tych czasów, kiedy pióro serbskie tkwiło w rękę *Zmaja, Jakšicia, Ilicia* ze starszych, a *Duczicia, Rakicia* i *Szanticia* z młodszych.

Pod koniec ubiegłego stulecia kilka było ośrodków rozwoju *poezji serbskiej*, ale ośrodkiem bodaj że najważniejszym dla poezji poromantycznej, a w każdym razie ośrodkiem najsympatyczniejszym było miasto Mostar w *Hercogowinie*, kolebce serbsko-chorwackiego języka. Tu wokół czasopisma „Zorza“ grupująca się młodzież mostarska podniosła wysoko swój gród ukochany i postawiła go w rzędzie pierwszorzędnych ognisk literackich. Grupy tej członkami byli: *Sv. Ciorović, O. Dzičić, L. Greczić, R. Radulović, J. Duczić, A. Szola* i *Aleksy Szantić*. Lecz, niestety, praca tej grupy nie trwała długo: rychło pomierali pionierzy literatury mostarskiej *Cio-*

rović, Dzičić, Greczić i Radulović, opuścili zaś Mostar *J. Duczić*, co w świat szeroki powędrował, i *Szola*, który do Sarajewa się przeniósł. Wiernym Mostarowi do ostatniego tchu pozostał *Aleksy Szantić*; w Mostarze się w r. 1868 urodził, w nim się wychował, w nim pracował i w nim w r. 1927 na sen wieczny zamknął swe oczy.

Nie był *Szantić* poetą tej miary, co *Duczicie* czy *Ilicie*, na którym się zrazu wzorował, a o porównaniu z wielkimi poetami świata i mowy być nie może, ale był poetą w ojczyźnie swej wielkim, bo *kochanym*. Wielu było poetów w serbskim narodzie oryginalniejszych i doskonalszych w formie, ale w całej literaturze serbskiej nie było dotychczas poety o *uczuciu* bardziej *bezpośrednim i szczerem*, któryby więcej mówił naszemu sercu, niż *Szantić*.

Wzrosły w epoce „*wojislawizmu*“, nie mógł młody *Szantić* zdobyć się już w pierwszych latach swej twórczości poetyckiej na *poezję oryginalną*, bo nad nim, podobnie jak i nad jego rówieśnikiem, *J. Ducziciem*, zawiśł przemożny wpływ *V. Ilicia*, największego lat dziesięćdziesiątych poety serbskiego, co wzorom obcym, *francuskim*, hołdował i francuskich parnasistów i symbolitów uwielbiał. Za wzorem tym na zawsze poszedł *J. Duczić*, z pod wpływu *Ilicia* otrząsnął się dość szybko *Szantić*.

W puceźnie literackiej *Szanticia* znajdziemy *poezję opisową i patriotyczną*, znajdziemy utwory *ramatyczne i przekłady*, ale *Szantić* był zawsze *lirykiem*, a jako liryka pozna-

jemy go już z pierwszych jego utworów. Już z pierwszych bowiem wierszy przemawia do nas *człowiek czysty i pełen ognia*, który zachwyca się *wszystkiem*, co piękne, prawdziwe i dobre. *Człowiek*, który cieszy się, że żyje i że może dorzucić kilka cegiełek do budowy gmachu ogromnego, któremu na imię jest: *ludzkość, ojczyzna, wolność, przyroda*, oto główne motywy pierwszych — a potem i wszystkich dalszych — *poezji Szanticia*.

Wiersze te są czyste, ciepłe, niewymuszone, szlachetną płonące myślą. Smutek rzadkim jest w nich gościem i zawsze przez poetę usprawiedliwionym. *Poezje Szanticia* pełne są bowiem *optimizmu*, niema w nich uczuć filtrowanych, bo poeta wnosi, uszlachetnia. Wiele w tych pierwszych wierszach jest *idej pięknych i szlachetnych*, często we wspinał się *ujętych form*, bo *Szantić*, to skończony skrzypek, wiele w nich dziecinnej *szczeroci* i *prostoduszności*, która każdego musi *pociągnąć*. Na niebie poety niema nigdy *ładnej chmurki*, tylko *słońce świeci*, a *nocą gwiazdami zasiane*. Ale te pierwsze wiersze nie są *jeszcze liryką „par excellence“*; *poezja Szantisa*, zwłaszcza *patriotyczna*, posiada *pewną maniery*; idea wywołuje w nas *pod koniec utworu drugą ideę*, a ta znowu *nową ideę*. Dzięki jednak tej swojej manierze uniknął poeta *monotonji*, tak częstej w *poezji patriotycznej* lepszych nawet poetów.

O ile pierwsze wiersze *Szanticia* wywołały z jednej strony *krytykę* bardzo ostrą (*B. Popović*), z drugiej zaś *krytykę dodatnią* (*M. Car*), o tyle dalsze zbiorki jego poezji wy-

wołały *zachwyt* u społeczeństwa, a słowa *pochwalne* z ust krytyków. Podobają się *bardzo* jego *cykle pieśni miłosnych*, które obok *pieśni miłosnych Zmaja stawiano*. Bo *poezje* to *istotnie piękne*, co obraz *kochanki* poety z różnemi obrazami *przyrody zespala*, dając przez to *czystą lirykę miłosną*, jaką w wiersze swe wkładali i odczuwali *poeci* lat *dwudziestych*.

Jak wszyscy młodzi *lirycy*, zaczął *Szantić* od opisu własnego serca, ale się *wzorem* tych *wszystkich* nie *wykoleił*, bo od *zmanięrowania* się *ochroniła* go jego *szczeroci*. Pisząc zaś tak, jak mu *kazało jego serce*, wniósł *Szantić* do *poezji* swojej to *rodzime serbskie*, a nawet *hercegowińskie „ja“*, które *kazało mu* *powiedzieć* o sobie: „*Jak bór, pod błękitne co się wznosi stropy, Jam silny, ja noszę w sercu mojem siłę*“.

A *sila* to *musiała* być *istotnie wielka*, skoro poeta, przez nią *podtrzymywany*, mógł *opowiadać* nam o *niej w pięciu cyklach* i mimo to *nie stał* się *monotonny*, a *nawet przeciwnie*, *coraz bardziej* *interesujący*. O ile w *cyklu p. t. „Cienie“* *przewija* się *pasemko ironji* w *stylu Heinego*, a poeta *ogłada* się *czasem* na „*Buch der Lieder*“, o tyle *cykl p. t. „Iznowu ma dusza wciąż o tobie sni“* zawiera *wiersze* *nawskróś oryginalne*. W każdym razie przez *poezję* *miłosną* wszedł *Szantić* do *literatury serbskiej*, jako jej *współtwórca*.

Jako *talent poetycki*, rozwijał się *Szantić* *powoli*; wiele w nim *się* *dokonało* *zmian* i *różnych* *próbował kierunków*, *różnych* *szukał dróg*, *bądź Zmajowi i Iliciovi* *inspirować*, bądź

* Artykuł ten jest wyjątkiem z obszernej pracy o Szantiću, przygotowywanej przez autora.

przeszedł, inne pestkowe zbieramy, gdy przy dotknięciu są miękkie. Zrywamy ręką lub przyrządem za ogonki, uważając, zwłaszcza przy słuskach i bżoskwiniach, by nie ścierać barwy.

Chodzić po drzewach i gałęziach można tylko boso. Należy też uważać i przestrzegać następujących warunków: by gałęzi nie łamać, ogonków nie urywać i owocowi nie ude-

rzać i nie rzucać nim do kosza, gdyż owoc obity przedko gnije, ale starać się w delikatny sposób owoce układać, najlepiej w luźniaki.

Dokonywać zbioru owoców należy w porze suchej.

Antoni Gładysz
(Tarnów).

W czas grzybobrania.

Bogactwo form. — Budowa ciała. — Rozwój grzybów. — Najczęstsze gatunki u nas występujące. — Naturalne zapasy pokarmowe grzybów.

Kraków, 31 sierpnia.

Z pośród całego szeregu użytków głównych, las — potężny czynnik bogactwa ziem naszych, dostarcza również wiele korzyści w postaci ulubionych owoców leśnych po zrebach i kulturach, poziomek, borówek, malin, ożyn — wreszcie mnóstwo bardzo smacznych grzybów.

Spory grzybów są to niewidoczne gołym okiem, mikroskopijnie małe, pojedyncze komórki, dwoma błonkami pokryte, rozmaitego kształtu i koloru, właściwymi danemu gatunkowi. Niektóre grzyby wytwarzają całe miliony spor. Spory te zostają unoszone wiatrem na wsze strony.

W sprzyjających warunkach poczynają spo-



Rys. 1) Schemat rozwoju grzybów: grzyb sypiący zarodniki = spory, kielkujące spory, grzybnia i znów owocniki.

Rys. 2) Smardz (*Morchella esculenta*).
Rys. 7) Rydz (*Lactarius deliciosus*).

Niema drugiej podobnej gromady roślin, która by była tak bogata w rodzaje i gatunki, pod względem formy i koloru, co grzyby. — W ogólnym znaczeniu, grzyby charakteryzują się tem, że nie posiadają ciała zieleni. Ciało ich składa się z nitkowatych strzępek (*hyphae*), których błonę komórkową tworzy nie błonnik, lecz chityna — substancja azotowa, spotykana u osobników zwierzęcych, we wnętrzu komórek brak jest zupełnie skrobi, w miejsce jej występuje glikogen wraz z innymi związkami i barwikami, właściwymi grzybom.

Strzępki (*hyphae*) splatają się na powierzchni ziemi bądź też w głębi podłoża, na którym żyją, tworząc charakterystyczną grzybnę (*mycelium*). Pod postacią grzybni występują pleśnie, najczęściej jednak strzępki wytwarzają prócz grzybni również i ciała twarde o swoistym kształcie i barwie, tak zwane owocniki, popularnie zwane grzybami, w których wytwarzają się zarodniki.

Grzyb-owocnik, kapeluszowy, składa się z trzonka mniej lub więcej wydłużonego oraz kapelusza. Po spodniej stronie kapelusza na blaszkach pionowych, promienisto ustawionych lub rurkowatych, znajdują się spory, właściwe „nasiona“ grzybów. — Spory te bywają różnego koloru. Przekonać się o tem bardzo łatwo, wzięwszy kapelusz dojrzałego grzyba i, pozostawiając go przez kilka godzin na kartce papieru. Po tym czasie spore strzęc można kolorowy pył — zawierający niezliczoną ilość zarodników — spor, analogicznych do nasion roślin kwiatowych.

ry kielkować, zamieniać się w strzępki, następnie w grzybnę (*mycelium*), wrastając w leśną ściółkę (*humus*), rozrastając się z czasem koncentrycznie bardzo silnie. Takie złoża grzybni mogą bardzo długo egzystować, w wypadku nieurodzajnego podłoża, odpowiedniej temperatury i wilgotności otoczenia, poczynają wytwarzać owocniki — kapelusze. — (Rys. 1).



Rys. 10) Muchomor (*Amanite muscaria*).

Rys. 3) Kozia broda (*Clavaria aurea*).

Rys. 4) Prawak (*Boletus edulis*).

Rys. 6) *Caprinus porcellanus*.

też Heinego uwielbiając. Szantić był jednym z tych nielicznych poetów, na których utworach śledzić możemy łatwo rozwój talentu poetyckiego; od roku 1891 poczynawszy, wydawał Szantić co kilka lat (1895, 1901, 1908, 1911, 1918) nowy zbiorek poezji. Krytyka różnie się do każdego zbioru ustosunkowywała, a kiedy rok 1911 przyniósł zbiorek p. t. „Pjesme“, głos zabrał jeden z najgenialniejszych krytyków, jakich dotychczas wydał naród serbski, Jan Skerlić. „Zbiorek ten — pisał prof. Skerlić — przynosi zaszczyt poecie i wydawcy, a czytelnikom mieć będzie wielu nawet w czasie obecnych, kiedy poezji naszej — poza gruną pisać — nikt nie czyta“. Lecz poezje te zyskały nie tylko wielu czytelników, bo oto zadrgały nad niemi serca i łzami napelnili się oczy narodu serbskiego, który po raz może pierwszy odczuł, że przemawia doń poeta wielki, bo szczery, co kłamać nie umie i nie chce, co nie dla mody i snobizmu pisze, co nie żongluje słowami i nie operuje frazesami, a kombinacjami wyrazów nie zatłacza problemom muzyki. Zanim poezje swe wydał, on je przeżył, on w nie uderzenia swego serca włożył.

Szantić kochał ojczyznę i braci swoich i ziemię swoją rodzinną miłością wielką, to też poezja jego jest liryczną, bo prawdziwą lirykę może stworzyć tylko wewnętrzna miłość, czysta i głęboka, co nie naśladuje drugiego, bo przemawia swoim językiem: liryk odczuwa i przedstawić nieszczęście ojczyzny, jako swój własny ból, hańbę narodu jako obrazę swej osobistej czci, a życie ojczyzny żyje w nim, jak to mówił Syhlojusz Krańczewicz:

„Ja ojczyznę mam i w sercu ją noszę“. Szantić czuje, jak ból narodu przemienia się w jego własny ból:

„Nie płaczę tylko z bólu serca mego
O ziemię moją ubogą i nagą
Mnie bolą wszystkie rany mego rodu
I moja dusza z nim cierpi i płacze.
Tu, w roztarganym mego serca bólu,
Ja noszę kłopoty wszystkich mąk i cierpień,
I krew, co spływa z rąk nieprzyjaciela,
To jest krew moja z moich ran wybiegła.
Bo we mnie się skarżą dusze milionów —
Mój każdy oddech, każda łza bolesna,
Ich bólem krzyczy, z ich bólem umiera.
I wszędzie, gdzie tylko serbska dusza żyje,
Wszędzie tam dla mnie jest ojczyzna moja,
Mój dom i moje rodzinne ognisko.“
„Moja ojczyzna“ — przet. S. P.)

Poezja Szanticia jest prawdziwą, szczerą, liryczną, ponieważ liryczną jest taka poezja, w której poeta odczuwa nie to, że on jest częścią ziemi i narodu, ale to, że ziemia i naród są częścią jego szerokiej duszy.

Choć w ciężkich i czarnych dla narodu serbskiego śpiewał czasach, Szantić w poezji swojej był zawsze optymistą, któremu Bóg dał silnie serce, by w czasie strasznych dni nie schylił czoła swego („Moja pieśń“); on, który pyta: „Gdzie jest rozmach sily, gdzie sila męska i światłe podjęcie dzieł nieprzemijających“, w spokojnej miękkości serca słowian-



Rys. 5) Grzyb djabełski (*Boletus satanas*).

Rys. 8) Liszka (*Cantharellus cibarius*).

Rys. 9) Pieczarka (*Psalliota*),

Grzyby mięsne kapeluszowe, tworzą właściwie dwie wielkie gromady: workowce (*Ascomycetes*) i podstawczaki (*Basidiomycetes*). — Z workowców niewiele osobników jest jadalnych, specjalnymi względami smakoszów cieszą się smardze (*Morchella esculenta*) (Rys. 2), oraz trufle (*Tuber aestivum i melanosporum*).

Większość grzybów kapeluszowych należy do podstawczaków. Z tych ostatnich wymienimy cały szereg gatunków. Pospolita kozia bródka (*Clavaria aurea*) (Rys. 3), dalej grzyb prawdziwy (*Boletus edulis*) (Rys. 4), maślak (*Boletus luteus*), doskonały „grzyb królewski“ (*Boletus regius*), bardzo silnie trujący, piękny w kolorze grzyb djabełski (*B. satanas*) (Rys. 5). *B. gramulus*, jadalny i w. in.

Podobnym bardzo do młodej pieczarki, nie otwierający kapelusza, jest *Coprinus porcellanus* (Rys. 6), doskonałym (*Lactarius deliciosus*) rydz jadalny (Rys. 7) z czerwono żółtym sokiem mlecznym. Pospolitym grzybem jest liszka (*Cantharellus cibarius*) (Rys. 8), dalej gołąbka (*Russula vesca*, *R. virescens*), wiele jednak z nich bardzo do niej podobnych jest trujących (*R. amelia*).

Po łąkach, ogrodach występuje doskonały grzyb pieczarka, z całym szeregiem gatunków (*Psalliota campestris*, *P. arvensis*, *P. silvatica*) (Rys. 9). Do powszechnie znanych, trujących należy muchomor (*Amanita muscaria*) (Rys. 10), (niektóre jednak z tej rodziny są jadalne), również *A. phalloides*, oraz cały szereg innych przepięknych pod względem formy i koloru grzybów.

Grzyby trujące starano się rozpoznać przy pomocy najrozmaitszych prób. Znana powszechnie próba na „srebrną tyżkę“, nie daje pozytywnych rezultatów, próba „na język“ również zawodzi, gdyż n. p. *Boletus piperatus* i *Lactarius piperatus* są piekąciami, lecz jadalnymi, przeciwnie zaś grzyb szatański *Bo-*

letus satanas o miłym posmaku orzechów, jest śmiertelnie trujący.

Przekonano się, że grzyby można bardzo łatwo pozabawić trucizny przez trzykrotne parzenie wrzącą wodą, lub jeśli się je gruntownie wyluguje w zakwaszonej słojej wodzie i skrzętnie wymyje. Tracą one jednak po takim zabiegu całą swoją moc odżywczą.

Grzyby nazwać można „mięsem lasu“. Wysuszone bowiem zawierają 10—36% białka, podczas gdy rośliny strączkowe przeciętnie tylko 25%, mięso 17—44%, jaja 12%, chleb 8%. Należy im przeto poświęcić więcej zainteresowania, poznawać je, by wykorzystać te ich naturalne zapasy pokarmowe, w tak dużych ilościach po lasach naszych marnowane.

Włodkav.

Kącik językowy.

Wysirok się od stóp do głów.

Kraków, 31 sierpnia.

Dziwne zdanie, zwłaszcza gdy się nad niem lepiej zastanowimy. Spostrzeżemy wtedy, że wyraz „stopa“ jest użyty zamiast nogi, a wyraz „głów“ jest użyty w liczbie mnogiej, choć odnosi się do jednego człowieka, który w normalnym stanie posiada tylko jedną głowę. Podobnie, jeśli ktoś usłyszy zdanie: „proszę mi podać tę ryżową szcoteczkę“, zdumiony może zapytać, co ma ryż wspólne ze „szcoteką“, z którą znowu spokrewniony jest wyraz: „szcotka“. Wyjaśnienia tych zjawisk szukać należy w tem, że pewne wyrazy, będące nazwą tylko części jakiegoś przedmiotu, stały się w biegu czasu nazwami całego przedmiotu. Oto kilka przykładów: „Całuję twoją dłoń“; „Człowiek o silnej dłoni“.

W pierwszym zdaniu wyraz dłoń oznacza część ręki, w drugim natomiast całą rękę, i nawet jeszcze więcej: charakter człowieka. To samo widzimy w zdaniach następujących: „Ach, jak drobny ślad twoich „stóp“, gdzie stopa oznacza część nogi, gdy w zdaniu: „wystroił się od stóp do głów“ — stopa oznacza całą nogę.

Każdy przedmiot posiada swój „kraj“ czyli granicę, rozróżniamy więc kraj książki, kraj zeszytu, kraj sukni i t. p. Do każdego państwa należy pewien obszar ziemi, która też posiada „kraj“, czyli granicę, oddzielającą ją od państwa sąsiedniego. Dziś jednak wyrazu tego nie używa się zupełnie w tem znaczeniu, t. j. w znaczeniu granicy, tylko w znaczeniu całego obszaru ziemnego państwa. Gdy więc mówimy o naszym „kraju“ polskim, nie myślimy o naszych granicach, ale o całym obszarze ziem naszego państwa.

Podobne zjawisko spostrzegamy w przysłowiowych dziś zwrotach: „Utrzeć komu nosa“ i „Podaj mu palec, on chwyci za całą dłoń“. W pierwszym zdaniu „nos“ nietylko nie oznacza części twarzy, ani całej twarzy — lecz

skiego radzi — jak W. Hugo w „Kontemplacji“: „Et puis laisse ton coeur ouvert! Le coeur, c'est la sainte fenetre“ —

„Serce twe otwórz niebu laskawemu
Rzecz, rosie, motylowi złotemu,
Kiedy na róży zmęczony usiedzie.
Zegnaj i módl się za siebie i onych
Zaciekłym gniewem nawzajem dręczonych
I długo zapłaczą, i łez ci już będzie.“
(„Zorza“ — S. P.)

Optymistą, co serca swych braci nadzieją w lepszą podnosił przyszłość, pozostał Szantić do śmierci i doczekał się tej serdecznej chwili, w której spełniły się jego modły do Boga o wolność dla jego narodu.

Szczera i głęboka miłość przedewszystkiem, a poza tem wielki stosunkowo talent poetycki pozwoliły Szanticiowi stworzyć swego rodzaju arcydzieło, bo poezje Szanticiowe otrzymały w historii literatury serbskiej nazwę: perel liryki serbskiej.

Czytającemu poezje Szanticia i szukającemu krótkiej charakterystyki poety na podstawie jego poezji nasuwają się słowa Winkelmanna o pewnym poecie niemieckim: „mit Feuer entwirkt, mit Phlegma ausführt“. W poezji Szanticia stoją paralelnie: analiza i uczucie. Fantazja poety jest silna, wyraz ciężki, połot wielki i silny. Uczucia stopione są z myślami w jedną całość, tak, że na czytelnika działają w sposób zgoła nieoczekiwany. Tę charakterystyczną cechą przeprowa-

dają konsekwentnie jego wiersze patryjotyczne, filozoficzne i miłosne.

Pod względem treści poezja Szanticia jest klasyczna, czego dowodzą najlepiej jego moralne i wspaniałe treścią i formą wiersze miłosne. Główną zaletą Szanticia jest: szczególny wybór tematu, świadome opracowanie, a nade wszystko jego smak estetyczny, który widać na każdym kroku. W poezji jego niema nic zbytecznego, wyrzucenie jednego bodaj wyrazu wywołałoby dysonans; w jego liryce wyczuwamy każdy ruch jego duszy. Wierszyki Szanticia wzięte w pełnym akordzie przedstawiają najbardziej tajemne procesy duszy ludzkiej; niema więc wierszyków Szanticia, lecz tylko jeden jego wielki wiersz z wielu składających się części, w których dusza połączyła się z sercem. Śpiewając odę na cześć ludzkości, odśpiewał Szantić najwspanialszą odę sobie samemu. A to jest największy trjumb, jaki obchodzą bohaterowie ducha i ciała, ponieważ „les poetes et les heroes sont de meme race. Il n'y a entre eux d'autre difference que celle de l'idee au fait. Les uns font ce que les autres conçoivent“ — jak powiedział wielki Lamartine.

Dusza poezji Szanticia jest głębokim mo-
rzem, w którym znajdują się perły bólu i smutku. Powierzchnia jej jest gładka, ale co się w jej wnętrzu mieści, nie łatwo zobaczyć. Ból i smutek w postaci perel stworzył poezję Szanticiową, bo „nie entuzjazm — jak powiedział Lambeto — nie dostatek, ani szczęście tworzy pieśni; z lez, z zaparcia się siebie, z samotności wypływa poezja“.

całe jestestwo człowieka z wszystkimi jego członkami i organami. Zdanie zaś drugie oznacza prawie to samo, co nasze przysłowie: „Pozwól kurze w grzędę, ona pójdzie wszędy“.

W zdaniu zaś: „proszę mi podać tę ryżową szczoteczkę“, ostatni wyraz oznacza dzisiaj wogóle narzędzie, służące do czyszczenia, bez względu na to, z jakiego jest zrobione materiału. Mamy więc dziś „prawdziwe“ szczotki, zrobione ze szczeci, ale są również „szczotki“ druciane, ryżowe, stalowe i t. p.

Czasem znowu taka zmiana znaczenia wywoływa wyrażenia wprost nielogiczne, których się jednak nie wstydzimy, gdyż są powszechnie używane. Oto dwa przykłady. Czu-

ły kochanek deklamuje: „Och, jak „krótkie“ były godziny, które z tobą, najdroższa Tusienko, spędziłem“. Wiemy doskonale, że jego „krótkie“ godziny wynosiły z pewnością 60 min., choć jemu wydawało się inaczej. Przeciwnie znowu, nieprzygotowana uczennica, spoglądając zniecierpliwiona na zegarek, klnie z cicha, w obawie przed „dwójką“ czy „czwórą“ (zależnie od okolicy Polski) i wypowiada takie „nielogiczne“ zdanie: Ach, jak „długa“ ta djabełska godzina. I znowu dla wszystkich jest rzeczą jasną, że tamte „krótkie“ i te „długie“ godziny — to bliźniacze godziny 60 minutowe, z których składa się nasze, raz *wesołe*, a raz *smutne* życie.

Z. Ż.

Ostrożnie z zapalnikami.

Zapalnik. — Elektryczność. — Gaz. — Maszyna do szycia.

Kraków, 31 sierpnia.

Gdyśmy byli dziećmi, my dzisiaj 40- i 50-letni, słyszeliśmy tyle razy, skierowywane pod naszym adresem, ustne czy pisemne ostrzeżenia: „ostrożnie z zapalnikami“. Zapalnik był wówczas niewątpliwie tą jedyną niebezpieczną

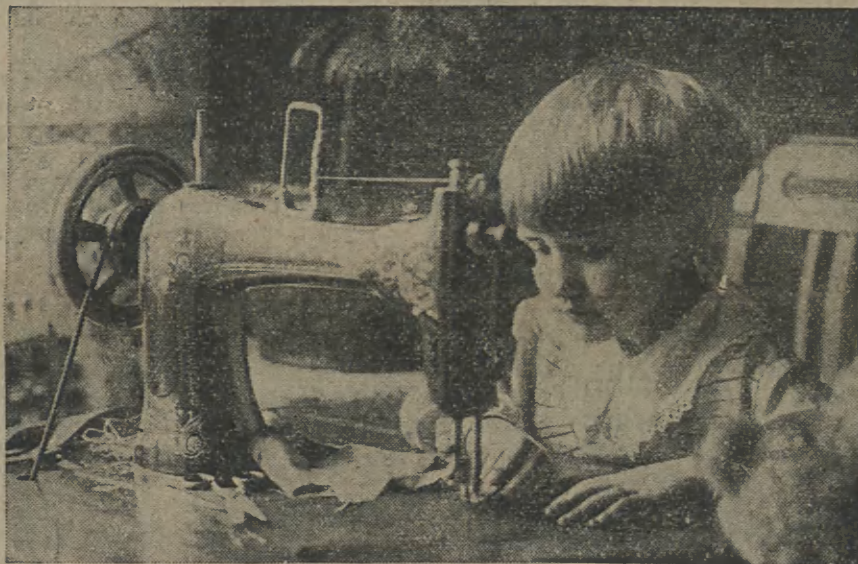
zabawką, która mogła narobić w dzieciennych rączkach niemało szkody.

Dzisiaj z postępem techniki, należałoby też rozszerzyć ilość tych zakazów. Wprawdzie zapalnik nadal pozostał tą niebezpieczną zabawką, ale ile jeszcze nowych przybyło. Zastosowanie elektryczności w gospodarstwie domowym spowodowało możliwość porażenia prądem elektrycznym dziecka przy nieostrożnym manipulowaniu z elektrycznością. Również i gaz przedstawia pewne niebezpieczeństwo zatruć się gazem, albo zajęcia się sukieneczki dziecka. Niemało już też było wypadków przecięcia sobie paluszków przy próbach szycia na maszynie. A dzisiaj tak tęci ta zabawka i tak trudno im wytłumaczyć, że maszyna do szycia nie jest jeszcze dla nich!

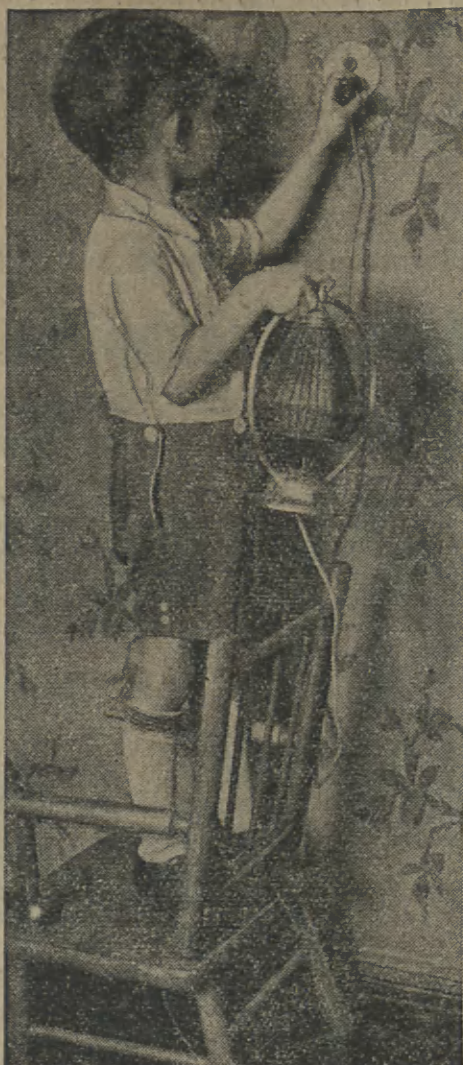
W każdym razie należy czuwać nad dziećmi, a jeżeli się je musi zostawiać w domu, należy zmniejszyć możliwie niebezpieczeństwo, zamykając główny kurek gazowy i dopływ elektryczności. (t)



Dziecko nie powinno zabawiać się w kuchni, bo może, spinając się po przedmiot na półce stojący, zrzucić go na podłogę lub samemu upaść na rozpaloną blachę pieca kuchennego i poparzyć się.



Dziecku nie można zezwolić na szycie na maszynie, gdyż może sobie łatwo paluszki pokaleczyć.



W pokoju dzieciennym nie można przeprowadzać instalacji elektrycznej w ten sposób, aby dzieci mogły dosięgnąć kontaktu, ponieważ łatwo mogą ulec porażeniu prądem elektrycznym w czasie niewłaściwego obchodzenia się z przewodami prądu.



Sprzęty użytkowe, jak np. żelazko do prasowania, nie jest zabawką dla dziecka, albowiem może się nim dziecko oparzyć lub też strącić je na nóżkę i okaleczyć.

przypierali się urocyściom niebieskim razem ze Świętym Pietrem, który to na tom kwile zamknął bramy niebieskie, jako że kciół się napatrzył, a zasie nimók znaleźć godnego i statecznego klucznika.

Pon Bóg Wsekwidzoncy i Wsekwidzoncy pożyroł roz na urocyść roz zaś dołu na ziemię a potem Matki dziewice i inne różne syćki świante. Janiołowie starsi świency świcy spiwali piosnecki a pochnocemi kadzidłami oddawali ceść i pokłon mozej Pani. Piknie było.

Kondecek dalej z boku świenci Pańscy

Idzies za Jezuskiem, weź mie na onom ziemie.

Świenty podropił sie po głowie, kiwnon renkom i posli.

Dzień był jasny, ptoskowie spiwajency buzdili sie z kwardego spanio. Nie bocem z turzej to wsi Jezusek trzymajency w chuscince duse, sed drogom na gore a z onej jenyj gory kciół sie do nieba dostać spełniwszy Ojca Wolom. Świenci mu droge zašli: Pieter i Cecyljo. Jezus zażroł w ocy Pietrowi, kwila to godno bela i sli w cichości po tem padole leż i narzekanio. Świento nicego rozumieć ni mogła, kciała sie spytać Paniezusa abo Świ-

Mały feljeton.

Skąd się wzięny kaplice przydrożne.

W niebiesiek na świeconym tronie siedziol Stwórca Wsekwidzoncy i Wsekwidzoncy i patrozł roz na ziemie roz zaś na urocy-

stość jako sie w niebiesiek świenciła. Bela to urocyństwo przyjęcio dusycek cyścowy w pocet świency i lo tej przycyny syćko tu staneno do parady, przybirajac najslicniejse weselne ubiory.

Na pirsym miejscu siedziola Przenojświensio Panienska miłosciwym okiem tulajac duse cyścowa ko sobie, co stoly kole Niej ocy do ziemy skloniwszy. Janiołkowie wisency w po-

wietrzu trzymali ze scyrusienkiego zlota korone nad glowom Świentej Pani.

Malućkie dzicenta stoly z lelujami w gorczy a potem Matki dziewice i inne różne syćki świante. Janiołowie starsi świency świcy spiwali piosnecki a pochnocemi kadzidłami oddawali ceść i pokłon mozej Pani. Piknie było.

Kondecek dalej z boku świenci Pańscy

STANISŁAW MRÓZ.

PROROK Z NEAPOLU. (Ze wspomnień włoskich)

W słonecznej Italji byłem dobre kilka razy przed wojną i po wojnie i zachowałem stamtąd tylko najpiękniejsze wspomnienia. Nie należę do turystów, których „przeplacenie“ za coś 20, czy choćby kilkudziesięciu lirów i jakieś drobne przykrości, (z winy ludzi czy przy padku spotkać mogą każdego w podróży), pozabawiają już możliwości odbierania wrażeń, zatrzymując całą dalszą drogę. Drobne przykrości w podróży po jakimś obcym kraju są jak te przysłowiowe ziarenka gorczy, które podobno znajdują się muszą na dnie każdego kielicha przyjemności, zaprawiając go tylko pikantnie. Zresztą wszystkie wspomnienia błękitnieją w oddaleniu czasu — a proces ten zaczyna się tem wcześniej, im silniejsze pozostawia po sobie wrażenia podróż. Rzadkością zaś zaiste jest człowiek, w którymby pierwsza zwłaszcza podróż pod włoskie niebo nie pozostawiła wspomnień równie silnych, jak właśnie rozblękitnionych i rozslonecznionych, gdzie zmartwychwstały patos historii przedziwnie łączy się z pięknem przyrody w niezapomniane przeżycie. Dlatego też chcę kilka słów poświęcić pewnego rodzaju polemice z feljtonem

włoskim p. Tadeusza Kudlińskiego p. t. „Cudze chwalecie, cudzego nie znacie“, zamieszczonym w Dodatku Literacko-Naukowym Nr. 34 z 18 b. m.

Oczywiście wrażenia są rzeczą subiektywną — każdy odnosi inne, w każdym znajdują one indywidualne zabarwienie uczuciowe. Niema żadnych ogólnych sprawdzianów, ani niewzruszonych kanonów, zwłaszcza dla wrażeń natury estetycznej i niema żadnego obowiązku zachwycać się choćby najbarziej uznanymi arcydziełami sztuki, czy najogólniej za piękne uznaniami widokami natury. Nieraz nawet takie oficjalne zachwyty, którym nie towarzyszą istotne wrażenia, są rażące i przykre — można ich nie wyrażać, można też przeciwstawiać im innego rodzaju sądy konwencjonalne

Na takich sądach, które są wyrazem chwilowego usposobienia, odbijają się zwykle inne poboczne czynniki i zdarzenia chwili, jak owe wspomniane drobne nieprzyjemności — i nikomu one nie szkodzi. Rzeczy martwe nie odczuwają same żadnych sądów. Inna jest sprawa nie z rzeczami, lecz z ludźmi i z przykładaniem do oceny ogółu tych ludzi w danym kraju miary swych przejściowych nastrojów, wywołanych drobnymi przykrościami. Turysta to zwykle bardzo czuły barometr, a nawet sejsmograf, który zapisuje wszystkie zły stany pogody i notuje najdrobniejsze choćby wstrząśnienia, lecz z tych przejściowych notatek nie może powstać prawdziwy obraz ogólny danego kraju.

Dla turysty to jest tem niebezpieczniejsze, że styka się on właściwie tylko z pewnym specyficznym odłamem danego społeczeństwa — hotelarzami, przewodnikami, przewodnikami — całą tą kategorią ludzi, którzy żyją z podróznymi i turystów, którzy na całym świecie nie mają zbyt wielu cech sympatycznych, zwłaszcza, że każdy podróżny w zasadzie znajduje się wobec nich w położeniu strony wojującej o największą wygodę, a najniższą cenę.

Daleko jednak stąd do wniosku, że jeżeli tu i ówdzie hotelarz nie był zbyt uprzejmy, portjer patrzył za napiwkami, a dożkarcz starał się wziąć coś więcej ponad takse, ażeby cały naród, do którego wzmiankowane osobniki należą, był już złodziejski i żebraczy.

Co do Włochów specjalnie można nawet twierdzić, że są oni w stosunku do turystów wcale nie więcej „złodziejscy“ niż jest nimi tasama kategoria ludzi we wszystkich krajach — są może nawet mniejszymi zdrajcami, odznaczają się przytem nie tylko niesłychaną uprzejmością, ugrutowaną na bystrości i inteligencji, właściwej starej rasie.

Nigdzie chyba tak przedziwnie nie rozumieją dobrze podróżnego jak właśnie we Włoszech i to aż do najniższych warstw ludowych, do wieśniaków i rybaków. Małe „naciąganie“ na drobny datek jest tu rzeczywiście drobnostką, o której nie warto mówić. Trzeba natomiast powiedzieć, że naogół we Włoszech — właśnie wskutek tego, że istnieje

tam tak dawno turystyka, masowy przyjazd obcych ludzi ze wszystkich krajów — wytworzyła się specjalna kultura gościnności turystycznej i specjalna staranność w przestrzeganiu solidności w stosunku do turystów — tak jak we wszystkich innych krajach przez turystów odwiedzanych, specjalnie wśród narodów romańskich (na północy Europy jak skądinąd wiemy, jest to samo).

O okradzeniu podróżnego niemal że niema mowy — jego rzeczy znajdują się jakby pod milczącą ochroną ogółu — choć oczywiście we Włoszech niema aniolów tak samo jak gdzieindziej i mogą się tam zdarzyć złodziejaskowie, czyhający na kieszeń podróżnego, zresztą tak samo na kieszeń obcego, jak na kieszeń rodaka.

Stosunek jednakże ogółu do takiego złodziejaska jest nadzwyczaj surowy we Włoszech — i to nie dopiero od dzisiaj, lecz już oddawna. Pamiętam, gdy kilka lat przed wojną bawiłem dłuższy czas w Rzymie, że okradziono wtedy jakiegoś angielskiego turystę wieczorem, gdzieś w okolicach kościoła San Pietro in Vincoli.

Było to rzeczą charakterystyczną, że tem zdarzeniem zajmowały się przez kilka dni dzienniki, pisząc o tem w wielkich artykułach z wielkim oburzeniem. Poświęcano temu nawet artykuły wstępne, dowodząc, że hańba tego zdarzenia spada na cały Rzym, ba na całe Włochy i do jakiego stopnia obniża to w świecie opinię Włoch.

Niewątpliwie była w tem także dobrze zro-

tego Pietra, ale oba sli powozni, obyczajnie patrzaco przed sie. Po koncedku zacena zacierac do zawiniotka, ale w tom kwile nie nie widziata az sie jej do placu zbirało. Ciekawosc babsko przewycienyla i swiento paluskiem cichutko chuscinke odwinawsy do nuka zażrala. Az Poniezus przystanon i pado:

— Cecyljo, Cecyljo azaliś blizso jest ziemi anizeli niebu?
Swiento padla na ziemie placency, sromota jom ogarnena i zacena myslec o pokucie lo siebie za onom bliskom grzechu ciekawosc. Wlazla do starej wirby, co wysycybiono bela i tam siedziata, lamentujonc Jezusa o przebocenie. Poniezus przecie bel i jest zawdy li-

tosierny i nie bocył jej dlugo tego przewinienio, bo juz po trzok dniak i trzok nocak ozkoczol Janiolom swientom Cecyljom do nieba sprowadzi, wine jej darujac wiecyscie.
— Hyr leciol po swiecie i glosil, ze w jenyj staryj wirbie objawiła sie swiento i lud poboczny zegnal sie na tworz padajency. Sed hyr

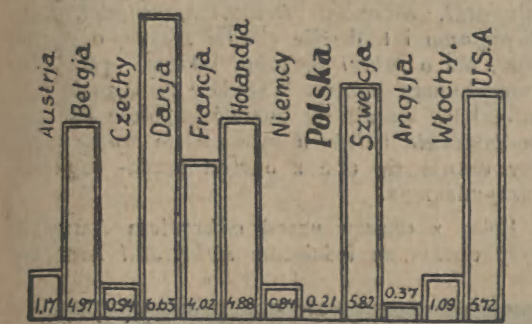
po swiecie, a tacy byli co im Pon Bóg na talantak nie poskondzil i zaceni rzezbic Swiente i Swientyk na obraz i podobienstwo Boze.
A dzialo sie to na Podholu, ka Panu Bogu poziorno z nieba na onom nasom swientom ziemie.
Aniela Stapińska (Poronin).

MIECZYSLAW BREITMEIER.

Zużycie niektórych produktów.

Zużycie żelaza i węgla kamiennego. — Cukier, pszenica i żyto miernikami zamożności. — Papier miernikiem kultury. — Zużycie kawy i herbaty.

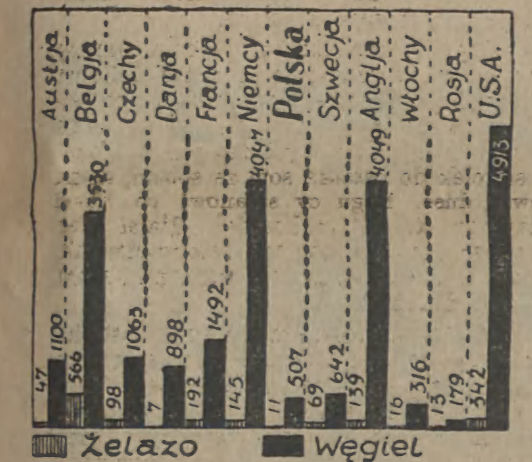
Kraków, 31 sierpnia.
O stanie ekonomicznym mieszkańców danego kraju, o jego kulturze i zamożności



Rys. 1) Graficzne przedstawienie zużycia węgla i żelaza na głowę ludności w kilogramach.

mówią wiele cyfry, przedstawiające średnią zużycia różnych surowców ewent. fabrykatorów na głowę ludności.

Rozpatrzmy wykres 1, który przedstawia nam zużycie żelaza w różnych państwach. Jak widzimy, w Danji zużywa jeden mieszkaniec 7 kg żelaza rocznie, w Polsce — 11 kg, we Włoszech — 16 kg, w Czechosłowacji już 98 kg, w Anglii 139 kg, w Stanach Zjedn. (U. S. A.) 342 kg, a w Bolszewji — 566 kg żelaza.



Rys. 2) Graficzne przedstawienie zużycia pszenicy, żyta i cukru w kilogramach na głowę ludności.

głową mniej węgla (507) niż n. p. w Belgji żelaza (566 kg).
Wykres 2 przedstawia zużycie pszenicy, żyta i cukru. Zajmijmy się najpierw cukrem, który można uważać całkiem słusznie za miernik zamożności: ludzie zamożni spożywają dużo cukru (w różnych postaciach). —

szego gat. zboża. Najwięcej pszenicy spożywa Belgijczyk (175 kg na głowę) i Anglik (160); najmniej Polak, bo tylko 45 kg. Odwrotny stosunek widzimy na wykresie, przedstawiającym konsumpcję żyta: kraje uboższe spożywają dużo żyta. I tak: Polska (152 kg żyta na głowę), Rosja (116) itd. W bogatej Anglii przypada zaledwie 1 kg żyta na głowę i t. d.
Miernikiem kultury jest papier: im większe zużycie papieru — tem wyższa kultura. Na głowę ludności wypada w Polsce 5 kg papieru (zużycie roczne) w Belgji (15 kg), we Francji (16), w Niemczech (21), w Anglii (25), w Czechosłowacji i Stanach Zjednocz. (27).
W zakończeniu podajemy wykres ilustru-

dektw pisangch, nie mówiac o ogromie ruin, z których można wyczytać to, czego nie przechowały dokumenty pisane. W porównaniu z tym ogromem, zabytków kultura pierwotna Ameryki pozostawiła stosunkowo niewiele. Nieliczne stosunkowo zabytki piśmienne Mayów z wielkim trudem i niedokładnie są odcyfrowane, inne materialne dowody kultury czy to starożytnego Peru czy to Meksyku zostały zniszczone ręką wandalów hiszpańskich z niepowetowaną szkodą dla zrozumienia tych ciekawych dzieł.

Archeologowie, mając taki skąpy materiał, muszą szukać wszelkich dowodów pośrednich, któreby im dostarczyły jakichś dokumentów autentycznych i niezbitych, czy to odnoszących się do chronologii, czy to do pewnych faktów. Takim najciekawszym podstępem naukowym pod niejednym względem, bogatym w rewelacyjne wyniki jest ten, jaki niżej opowiemy. Oto konsekwentny i logiczny umysł ludzki zmusił do mówienia najbardziej nieme, jeszcze chyba nigdy niezapytywane o dzieje ludzkości — słoje drzew. I słoje drzew przemówiły. Dzięki nim archeologia mogła ustalić daty zbudowania wielkich osiedli indyjskich w południowo-zachodnich Stanach Zjednoczonych na przestrzeni 11-tu stuleci przed odkryciem Ameryki przez Kolumba.

W jaki sposób wpadnięto na tego rodzaju metodę badań? Zaczęło się od plam słonecznych.

Oto dyrektor obserwatorium uniwersyteckiego w Arizonie Andrew Ellicott Douglas, zajmował się przez długie lata obserwacją plam słonecznych i stosunkiem tych plam do faktów meteorologicznych. Jak wiadomo, istnieje hipoteza, iż nasilenie plam słonecznych sprządza również bardzo obfite opady deszczowe. Plamy te pojawiają się mniej więcej co 11 lat, a więc co 11 lat powinny padać też i obfite deszcze.

W jaki sposób stwierdzić istnienie opadów deszczowych dla epok i krajów, gdzie jeszcze nie prowadzono zapisów meteorologicznych. Ludzie nie zapisywali, ale zapisywały drzewa, zwłaszcza tych krajów, które odznaczają się suchym klimatem, jak np. Arizona. W czasie posuchy drzewa rosną nadzwyczaj skąpo. Natomiast silnie narastają w latach deszczowych. Każda epoka deszczowa powinna się

Z krajów uwidoczonych na wykresie najmniejsze spożycie wykazuje Rosja (5 kg), Polska i Włochy (po 8 kg). Spożycie cukru w innych krajach jest kilka razy większe niż w Polsce. Najwięcej cukru spożywają Stany Zjedn. (45 kg na głowę), tyleż Anglia, Niemcy i Danja po 39 kg itd.

O stopniu zamożności mieszkańców danego kraju można się dowiedzieć z cyfr, ilustrujących spożycie pszenicy t. j. naszego najlep-

szego zużycie kawy. Najwięcej kawy konsumują w Danji, Szwecji, Stanach Zjedn. i Belgji; najmniej w Polsce. Zużycie kawy łączy się z zużyciem cukru, stąd też kraje, używające dużo kawy lub herbaty, używają również sporo cukru (porów. wykres 1). Najwięcej herbaty zużywają w Anglii (przeszło 4 kg na głowę), w Holandji (1,40 kg); w Rosji, spożycie na głowę wynosi tylko 130 gramów, w Polsce 50 gramów.

Słoje drzew, które mówią.

Brak zabytków utrudnia pracę. — Drzewa kroniką meteorologiczną. Zaczęło się od plam słonecznych. — Deszcze a grubość słoje drzewnych. Kalendarz meteorologiczny. — Zastosowanie jego do badań archeologicznych. — Dwie ekspedycje. — Pomyślnie wyniki badań.

Kraków, 31 sierpnia.
Przy badaniu przedkolumbowych dzieł Ameryki archeologowie i historycy znajdują się w znacznie gorszym położeniu, aniżeli ba-

dacze starożytnego Wschodu. Zarówno kultura egipska, asyryjska, sumeryjska czy hebrajska, pozostawiły po sobie wielkie ilości doskonale niejednokrotnie zachowanych swia-



Końce belek obrobionych przez Indian zapomocą siekier kamiennych.

Pomiędzy zużyciem żelaza i węgla istnieje pewna zależność, co jest zrozumiałe, ponieważ w społecznych nam warunkach rozwój przemysłu jest zależny od węgla kamiennego. Naogół można powiedzieć, że kraje przemysłowe zużywają dużo węgla (Stany Zjed. — 4913 kg, na głowę, Anglia 4049 kg, Niemcy — 4047 kg, Belgja — 3590 kg, Austria tylko 1100 kg), podczas gdy kraje rolnicze, słabo przemysłowe, zużywają go bez porównania mniej (Rosja — 179 kg, Włochy — 816, Polska — 507 kg, Danja — 898 kg na głowę ludności). W Polsce wypada więc na

tumiała dbałość o rozwój turystyki we Włoszech — ale musiał być także pewien grunt moralności ogólnej, na którym takie oburzenie mogło wyrosnąć. Dziś oficjalna zaś dbałość o uczciwość wobec turystów po wojnie jeszcze bardziej wzrosła.

Dруга strona mych wrażeń włoskich, którą chciałbym się podzielić z Czytelnikami w Polsce — ta fakt, że każdorazowo mógł powstać we Włoszech obalal dla mnie dośw rozpowszechnioną legendę o włoskiem „próżniactwie“.

Zaobserwowałem raczej rzecz przeciwną, — że Włosi są jednym z najbardziej pracowitych narodów świata, że mają przytem kulturę i umiejętność pracy. Legenda o lenistwie „lazzaronów“ włoskich zrodziła się stąd, że turysta, który wałęsa się w południowych godzinach po wybrzeżu powiedzmy zatoki Neapolitańskiej, widzi wówczas leżących i odpoczywających w słodkiej beczynności, „dolce faniente“ robotników, marynarzy, tragarzy pocztowych, rybaków, którzy u nas w tych godzinach dnia pracowaliby. We Włoszech jest jednak inaczej, zwłaszcza w lecie — musi się odpoczywać w ciągu jakiś pięciu godzin najbardziej słonecznych, w których słońce leje z nieba żarem nie do wytrwania, pracuje się natomiast w godzinach wieczornego chłodu.

I pracuje się we Włoszech bardzo ciężko. Nie może bowiem być inaczej w formie, w którym 45 milionów ludzi dusi się formalnie jak w ciasnym garnku pod szczelną pokrywą na małym stosunkowo obszarze Apenińskiego półwyspu, mniejszy niż obszar Polski, w któ-

rym, pomimo cudownego klimatu, ziemia ma dużo nieużytków. Trzeba pracować w obfitym naprawde pocie czoła, aby wyżyć się z kawalka kamienistego gruntu, na który najpierw trzeba nanosić własnymi rękoma ziemię, a potem ciągle nosić wodę, aby ona coś urodziła.

Włochy to błogosławiona kraina pomarańcz, winogron i fig, dla tych tylko, którzy na kilka tygodni przybywają je tam spożyć, odpoczywając — lecz nie dla tych, którzy je pracą muszą wyczarować ze skalistego gruntu.

Ze zaś Włosi umieją pracować i to pierwszorzędnie — to może zauważyć każdy, kto choćby pobieżnie przyjrzał się zarówno rolnictwu i ogrodnictwu włoskiemu jak i wspaniałej architekturze włoskich miast, wspaniałym włoskim drogom, mostom, tunelom, kanałom; pracowitość musiała tu iść w zawody z wielką sztuką i z umiejętnością pracy, poczynając od najniższego robotnika, aby stworzyć te dzieła.

Jak na całym świecie, są oczywiście i we Włoszech tacy, którzy próżnują nawet przez całe życie — ale olbrzymia masa narodu pracuje ciężko i znośnie i daje nam Boże, abyśmy w wielu dziedzinach umieli tak pracować, jak Włosi.

Ta garstka wrażeń niechaj będzie ową drugą stroną medalu, którą można widzieć we Włoszech i która pozostaje we wspomnieniach obok gondoljerów, barkarol, przewodników i całego tego bigosu, który towarzyszy wszelkim turystycznym przedsięwzięciom —

ale także obok wrażeń estetycznych w rodzaju, jakiego gdzieindziej nie znajdzie.

Na zakończenie chciałbym zanotować jeszcze jedno wspomnienie — zawsze aktualne dla każdego turysty, gdyż w sprawie drożyzny — które w dziwny sposób wiąże dla mnie dawne wrażenia włoskie z teraźniejszością. Muszę zaznaczyć, że anegdota ta jest autentyczna co do czasu, miejsca i osób.

Było to w roku 1911. Włochy zaczęły wtedy swoją ekspansję kolonialną na drugi brzeg Morza Śródziemnego, podjąwszy z Turcją wojnę o piaski Cyrenajki, oazy Trypolitani i wybrzeże. Już wówczas podnoszono to we Włoszech, jako wskrzeszenie tradycji starożytnych Rzymu.

Bawilem wtedy w Rzymie kilka tygodni i tam miałem sposobność poznania przygodnego w restauracji „Fratelli Fiorelli“ koło Corso Humberta, pewnego młodego studenta praw, troszkę już „żelaznego“, pana Gianuzzi, Neapolitańczyka rodem, zajmującego jednocześnie jakąś skromną posadę w rzymskiej „Tribunie“. Zeszliśmy się na stwierdzeniu niezadawalającej zwłaszcza ilości kuchni Braci Fiorelli, która zresztą była przywoita, ale zbyt chuda i „inteligentna“. Był to punkt, który obchodził nas wszystkich — „nigdy mi nikt niemający nie był obojętny“, toteż p. Gianuzzi powiedział do mnie i do jednego jeszcze towarzysza stołu:

— Jutro pojedziemy sobie do pewnej restauracji na Piazza Navona, gdzie się je i dostaje i tanio.

Poszliśmy na drugi dzień, spotkaliśmy się tam — pamiętam tylko, że to była jakaś restauracja z werandą pod kolumnami. Po ukończeniu odnośnej „agapy“ pyta się p. Gianuzzi:

— No cóż?

Oświadczam mu na to, że źle nie było, ale nie można powiedzieć, aby zbyt tanio — bądź co bądź obiad kosztował około 3-ech lirów złotych — i wyliczam mu, jakie to obfite cuda można dostać na obiad w Krakowie za jednego lira, a dwa razy tyle za niecałego lira w Warszawie. Na to Gianuzzi tłumaczy mi przyczyny drożyzny rzymskiej i jakby natchnięty duchem proroczym — powiada:

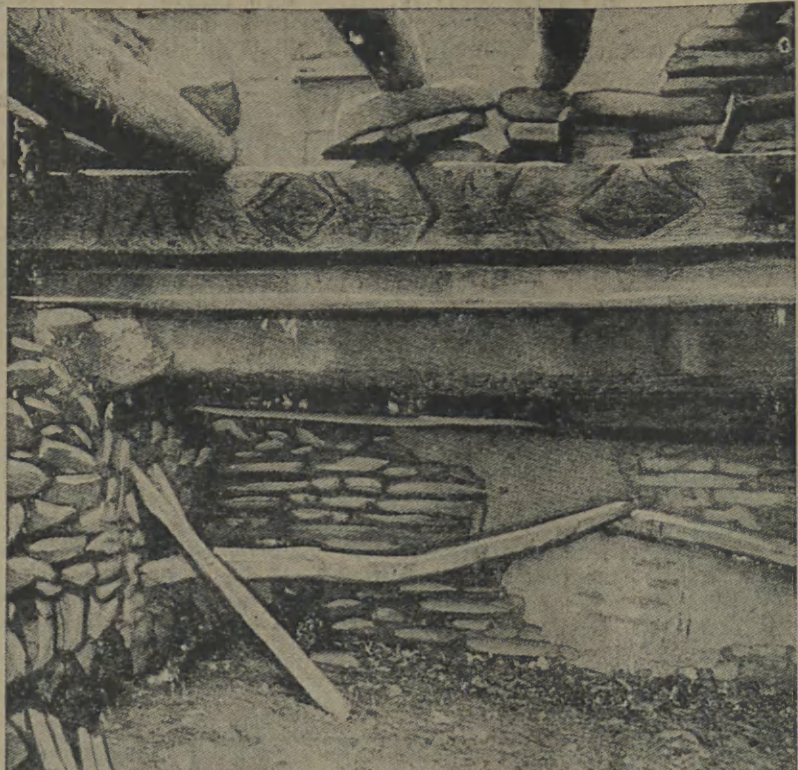
— Niech pan poczeka — gdy Warszawa będzie stolicą zjednoczonej i niepodległej Polski, jak Rzym zjednoczonych i niepodległych Włoch, to będzie tam tak samo drogo, jak i u nas!..

Odgadł bestja, i wyprorokował dobrze — zarówno przesłankę, jak wniosek. I proroctwo to było o tyle ciekawe, że takimi kategorjami polityczno-gospodarczymi o Polsce w r. 1911 naogół nikt nie myślał i nie mówił nietylko we Włoszech, ale i w całej Europie.

Jednego tylko nie odgadł sympatyczny prorok z Neapolu, że mianowicie, gdy się jego proroctwo ziści, to w Rzymie będzie jeszcze dwa razy drożej niż było w r. 1911. No, ale to jeszcze silniej odczuwają Włosi sami, niż turyści, i to obciąża tylko „conto“ wspomnień włoskich, lecz nie samych Włochów: trudno, Włochy nie są „z domu“ bogate.



Typ Indianina z Arizony.



Wnętrze ruin budowli hiszpańskich w stanie Arizona, do których użyto belek z dawnych budynków tubylczych Indian.



Typ dziewczęcia indiańskiego z Arizony.

zaznaczyć grubym słojem pnia drzewnego. Tak jest istotnie. Uczony nasz, badając przecięcia słoików drzew, przekonał się, iż mniej więcej na 11 słoików cieńszych wypada jeden słoik grubszy. Odkrycie to wielce naszego uczo-

W ten sposób znaleziono kalendarz tam, gdzie się najmniej spodziewano. Trzeba było jednak wielkiej pracy myśli, ażeby po tem wszystkim zastanowić się, czy nie dałoby się tego kalendarza użyć jeszcze do badań ar-

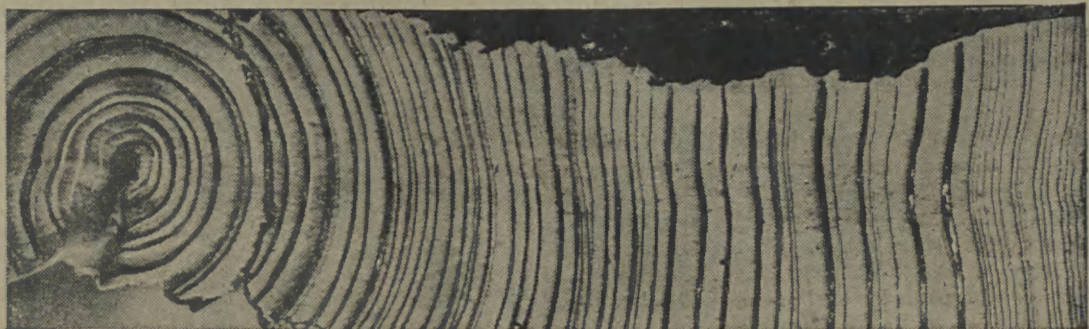
cheologicznych. W jaki sposób połączył znowu ten oryginalny umysł związkiem przyczynowym badanie ruin ze słoikami drzew? Rzecz bardzo napozór prosta: przy budowie ruin używano przecież belek z drzew, rosnących na terenie Arizony i jeżeli można było stwierdzić rok ścięcia danego drzewa, z którego pochodziła belka, to równocześnie ustalano i rok wystawienia danego budynku.

Myśl tę zakomunikował astronom równocześnie początkujący już amator-archeolog, amerykańskim towarzystwom naukowym. Została ona zaakceptowana przez Narodowe Geograficzne Towarzystwo, które wysłało dwie ekspedycje (piewszy raz w r. 1926) pod kierownictwem wspomnianego uczonego w dwuletnich odstępach a wyniki tych wypraw zostały właśnie ogłoszone przez biuletyny tego towarzystwa. Ekspedycje te przepędziły kilka lat w ruinach i we wioskach, zbudowanych z materiałów ruin całego szeregu miast i zamczysk Indian, które kwitły w Arizonie przed przybyciem Hiszpanów. Nazwy tych małych miast nawet dla naszych archeologów ruin są: Wupatki, Kawaiku, Betatakin, Citadel, Kokopnyama i t. d. Nie chodzi zresztą o szczegóły, ale o fakt i sposoby, jakimi pracowali amerykańscy uczeni. Wszędzie tam, gdzie zamieszkał, starali się poznać zupełnie ogólnie pochodzenie belek, a mianowicie wedle tego czy datują się one z okresu przed- czy pohiszpańskiego.

Belki z okresu przed odkryciem Ameryki były obrabiane i ścinane siekierami kamien-



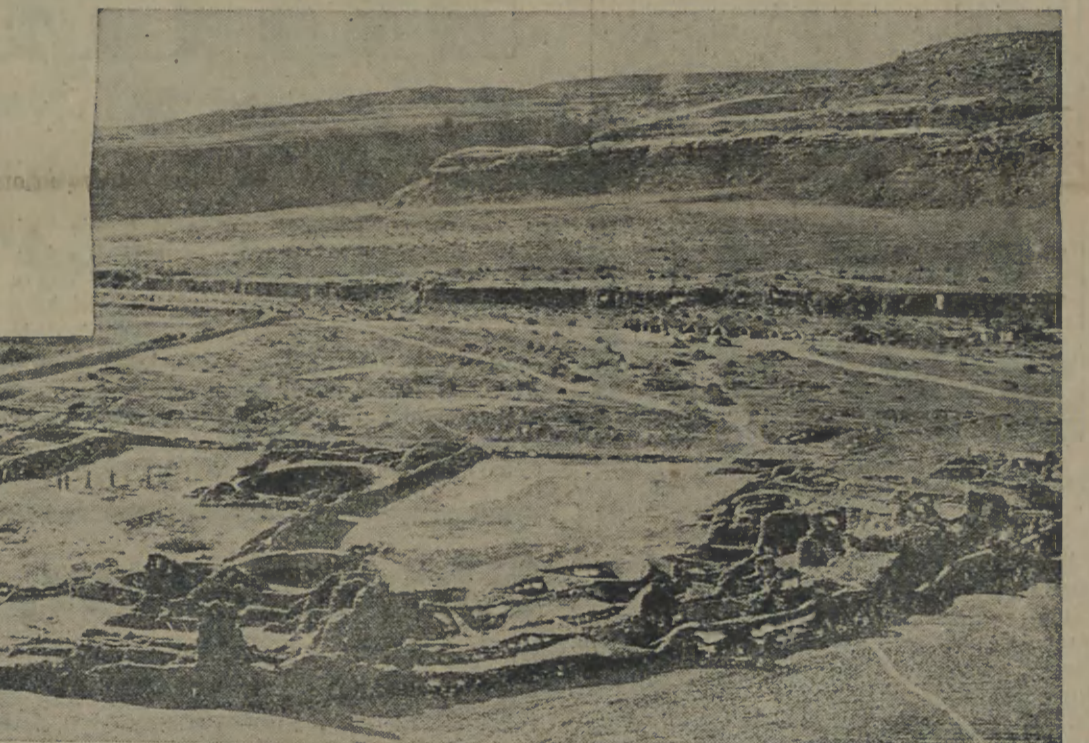
Ruiny budynków hiszpańskich w stanie Arizona, w których użyto do budowania belek z ruin tubylczych Indian.



Przekrój pnia drzewa, wykazujący różne grubości słoików. Z drzewa tego uczynione belki służyły do budowli Indian w stanie Arizona. Drzewo to, według obliczeń, rozpoczęło rosnąć w r. 1073, a ścięto je w r. 1260.

nego ucieszyło, a ponieważ w Arizonie rosną sekwoje, drzewa osiągające bardzo długi wiek, przeto można było ustalić chronologję, czy kalendarz deszczowy Arizony na przecię 500 lat. Dowiedziawszy się o tem zestawieniu plam słonecznych i słoików drzewnych kolega naszego astronoma, angielski astronom Walter Maunder, napisał mu, iż całe to odkrycie nic nie jest warte, jeżeli słoje nie wykażą faktu, iż pomiędzy rokiem 1645 a 1715 nie było zupełnie plam słonecznych. Słoje nie powinny wykazywać wobec tego żadnych różnic w zgrubieniach. Fakt ten stwierdził istotnie nasz uczy-

nego ucieszyło, a ponieważ w Arizonie rosną sekwoje, drzewa osiągające bardzo długi wiek, przeto można było ustalić chronologję, czy kalendarz deszczowy Arizony na przecię 500 lat. Dowiedziawszy się o tem zestawieniu plam słonecznych i słoików drzewnych kolega naszego astronoma, angielski astronom Walter Maunder, napisał mu, iż całe to odkrycie nic nie jest warte, jeżeli słoje nie wykażą faktu, iż pomiędzy rokiem 1645 a 1715 nie było zupełnie plam słonecznych. Słoje nie powinny wykazywać wobec tego żadnych różnic w zgrubieniach. Fakt ten stwierdził istotnie nasz uczy-



Ogólny widok ruin Indian w kanjonie Chaco w stanie Arizona; które badały ekspedycje naukowe Narod. Tow. Geograficznego amerykańskiego, Wybudowali je Indianie w r. 929.

Wśród nowych książek.

Kraków, 31 sierpnia.

Ludwika Jeleńska, SZTUKA WYCHOWAWCZA, Warszawa, nakładem „Naszej Księgarni“.

Autorka, wykształcona na katolickim uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim, jak o tem świadczy jej tytuł naukowy (Dr. phil. Uniw. Fryb. Szw.), chętnie wywodzi od słów Pisma św., chętnie posługuje się cytatami z dzieł wybitnych pedagogów katolickich, a równocześnie uwzględnia najważniejsze dzieła fachowców niekatolickich, zupełnie zgodnych z tamtymi. Stwarza to jakąś atmosferę wszechludzkiego porozumienia, tem miłszego, że czytelnika, nieobeznanego z współczesną literaturą psychologiczną i pedagogiczną, nie odstrasza od lektury trudna, a nie zawsze konieczna terminologia zawodowa; autorka umie się z nim porozumieć w wyrazach ogólnie znanych. Już z tych względów książka jej przedstawia się bardzo sympatycznie, a z tą sympatją łączy się wkrótce wdzięczność za poruszenie spraw najżywniejszych dla każdego wychowawcy i rozwiązanie ich według nakazów zdrowego rozsądku, zgodnych z teorjami wybitnych wychowawców.

Problem ludzkiego życia można ująć w formułę, powtarzaną od czasów tragedji ateńskiej, a wyrażoną przez św. Pawła w westchnieniu: „Nieszczęsny ja człowiek! Czynie nie to dobre, którego pragnę, lecz zło, którego nienawidzę“. Usunąć to wewnętrzne rozdarcie człowieka, zcałić jego wewnętrzne porywy, uzgodnić go z samym sobą — próbowali od wieków wychowawcy, poddając rozmaite środki, zależne od tak zwanego ducha czasu. I kto wie, czy nowohumanistyczny ideał harmonijnej (t. j. zgodnej z

samą sobą) osobistości nie najlepiej wyraził te wszystkie dążenia. Brak równowagi w naturze ludzkiej nie przesądza o wartości moralnej ludzi. Natura człowieka, jako taka, nie może być zła. Wola i inteligencja nie są z natury obojętne na to, co piękne i wzniosłe, ale zarazem ulegają niekorzystnym wpływom postronnym. Stąd pochodzi pożądanie ideału i brak energii w dążeniu do niego. Dziecko wzięte przed niesprawiedliwymi oskarżeniami w obronę sam Chrystus (Mat. 18, 3), mówiąc dorosłym, że jeśli się nie poprawią i nie staną jako dziatki, nie będą zbawieni. Tymczasem dorośli uważają najczęściej — siebie za wzór dla dzieci... Nie wynika z tego, by dziecko należało zostawić procesowi jego normalnego rozwoju; znaczyłoby to, w naszych warunkach realnych, zostawić je na pastwę najsprzeczniejszych wpływów otoczenia rodzinnego i społecznego. To też pedagogika, jako nauka o wewnętrzny harmonizowaniu człowieka i wychowanie jako sztuka tego harmonizowania dążą do takiego uchylenia wpływów szkodliwych a aktywizowania wpływów pożytecznych, by z ich pomocą powstała w dziecku wola samowychowania. Każdy bowiem jest twórcą własnego życia i swym wychowawcą. Dziełem wychowania, więc dziełem sztuki, jest siła samowychowawcza stworzona w dziecku. Stosownie do tych założeń (bardzo słusznych) zastanawia się autorka nad wpływami podświadomości i świadomości, które wzmacniają lub osłabiają ową siłę samowychowania. Wobec tego, że podświadomość znacznie więcej stanowi o naszym postępowaniu, niż świadomość, autorka więcej uwag poświęca wpływowi na podświadomość, przedstawiając szczegółowo wpływ środowiska (także szkolnego), atmosfery pedagogicznej, ułatwianie rozwoju uwagi, posłuszeństwa, przyzwyczajęń i zamilowań, między innymi przez podsuwanie. Wpływ świadomy zależy od metody, od zainteresowania ideałami i pomagania w ich realizowaniu, od współpracy w opanowywaniu

woli, ułatwiania wyboru i jego wykonania: owocem takiej współpracy jest przyzwyczajenie do cnoty, identyczne z ugruntowaniem charakteru.

Z pośród mnóstwa trafnych uwag autorki wybieramy dla przykładu jedną, łączącą się z atmosferą pedagogiczną. Stwarza ją nauczyciel. Nauczyciel, którego samo wejście do klasy wita ją dzieci radosnym spojrzeniem i uśmiechem, jest dobry; nauczyciel, który samem wejściem gasi wesołość w oczach dziecięcych, jest zły i szkodliwy nie tylko dla nauczania i wychowania, ale dla — zdrowia. Stwierdzono doświadczalnie, że z dwóch sierotków amerykańskich, przy identycznych warunkach higienicznych, w jednym chorowały dzieci rzadziej, w drugim — padły na zdrowiu często, przebieg chorób był cięższy, a powrót do zdrowia bardzo powolny. Otóż lekarz szkolny stwierdził, że kierowniczka pierwszego zakładu była osobą pogodnego usposobienia, umiała utrzymać swobodną, radosną atmosferę; w drugim, przy zgorzkniałej wychowawczyni, panował nastrój ciężki, przynębiający. Gdy kierowniczka na rok zamieniono, zmienił się odrazu stan zdrowotności. W dobrych restauracjach nie trzyma się np. klenerów o miarach karawaniarzy, znudzonych, opryskliwych; w szkołach spotyka się typy, podobne do Profesora Unratha (niby — Zajenki), bohatera powieści Manna, niedawno przetłumaczonej na polskie. Lekturę tej powieści polecamy nauczycielom i wychowawcom na równi z lekturą mądrej, pogodnej, radosnej książki Dra Jeleńskiej.

Arthur Górski, GLOSSY O LUDZIACH I IDEACH, Warszawa, Dom Książki Polskiej.

Autor „Monsalvatu“ i tytuł innych budujących książek jest niewątpliwie lwem między dzisiej-

szymi publicystami. Artykuły jego byłyby chętnie drukował Mickiewicz, gdy był redaktorem „Trybuny Ludu“: tyle w nich szczeropolskiego idealizmu, tyle troski o przyszłość społeczeństwa i państwa, tyle rozumu i uczucia. Jest to niestety lew, który się nie umie — śmiać, powaga jego przechodzi nieraz w ponurość, która budzi uszanowanie, ale nie — ujmuję. To też jego świetnie pisane artykuły (nie książki) będą może bardziej działać na przyszłe pokolenia, niż na współczesnych.

„Stoimy przed olbrzymim warsztatem naszej pracy. Warsztatowi temu na imię Polska. Chcemy tu zbudować życie takie, aby przyszłe pokolenia mogły w niem oddychać pełną piersią. Zbuduje je, zdaniem autora inteligencja, świadoma prawdy ludzkości i narodu, świadoma swej odpowiedzialności wobec ideału dobra, wychylającego się z otchłani rzeczywistości poprzez dotychczasowy rozwój ludzkości i narodów. Dobro jest tym pionem, według którego wzniesie się gmach Polski i ludzkości szczęśliwej. Szukanie tego pionu w ludziach, ideach, wypadkach współczesnych łączy 39 artykułów, złączonych p. t. Glossy.

Jedne z nich odnoszą się do pisarzy, jak Słowacki (z powodu sprowadzenia zwłok), Orzeszkowa, Wyspiański, Daniłowicz, Grosse-Korzycka, inne do książek lub wypadków współczesnych. Z bogatej treści wysuwamy na czoło „List do nauczyciela w sprawie szkoły antyreligijnej“, nie tyle z powodu uwag autora o braku kolizji między nauką a religją, rozumem a wiarą i o konieczności pierwiastka religijnego, metafizycznego w życiu jednostek i narodów, ile z powodu okazji napisania. Autor przedkłada autentyczny protokół z konferencji pedagogicznej na temat „Szkoła antyreligijna“. Treść wykładu i dyskusji. Prelegent poucał o sprzeczności religji z nauką, rzekomo zwalczaniu przez Kościół dawniej Kopernika i Galileusza, teraz Darwina i Einsteina, popierania wszelkiej władzy umocnionej,

nemi w odróżnieniu od belek późniejszych. Sposób jednej i drugiej obróbki różni się od siebie tak, że nie trudno było ten fakt ustalić. Zebrano około 6 tysięcy odcinków belek razem z fragmentami, których również w późniejszych badaniach nie lekceważono. Co więcej, nawet okazało się, że i zwęglone kawałki belek odpowiednio utrwalone, mogą im oddać usługi.

W jakiż to sposób osiągnięto rezultaty? Ponieważ można było przyjąć dla całego stanu Arizony jednakowe warunki klimatyczne, więc uważano wszystkie drzewa za jednakowe kalendarze. Chodziło teraz o to, ażeby ustalić nieprzerwaną szereg stoi drzewnych, począwszy od dnia dzisiejszego aż do najstarszej belki, jakakolwiek znaleziono. Ten nieprzerwany łańcuch udało im się istotnie ustalić i stworzyć jak gdyby *chronologiczny rejestr lat deszczu i posuchy*. Najstarsza belka, znale-

na w tych ruinach, sięgała r. 1237. Ponieważ Kolumb odkrył Amerykę w r. 1492, a kolonizacja hiszpańska nastąpiła znacznie później, więc można przyjąć, iż ustalono fakty z epoki przedkolumbijskiej na jakie 300 lat wstecz. Dzięki tej chronologii można było przez porównanie poszczególnych przekrojów drzew z gotowym już schematem stwierdzić dokładnie ponad wszelką wątpliwość daty powstania osiedli tubylców, opuszczenia poszczególnych wsi, wędrówek plemion i t. d. Już teraz inni archeolodzy, zachwyceni tak ścisłą a pomysłową metodą uczonego zapowiadają, iż zastosują ją przy badaniu starożytnych zabytków innych krajów rozmaitych części świata. Dzień drzew muszą nam odsonić dzieje ludzkości tam, gdzie brak innych dokumentów, co więcej, dzięki dokładności zapisów mogą one *korygować* dotychczasowe informacje. L. T.

ANECDOTY CIEKAWY.

WESOŁE HISTORJE O STRACHACH.

I.

(r). Dobrzy przyjaciele sławnego naturalisty Cuviera (1760—1832) — chcieli go pewnego razu nastraszyć. Gdy jednej nocy Cuvier obudził się z powodu niezwykłego hałasu w pokoju, ujrzał obok swojego łóżka straszną postać z głową wołu, która wybaluszyła na niego oczy i wystrzeżala zęby. Uczony nie stracił odwagi.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał widma.

— Pożreć cię — odpowiedziała postać.

— Mnie, pożreć? Jakim sposobem? — Cuvier spojrzawszy na stracha swym krytycznym wzrokiem uczonego.

— Hm — „Racicie, rogi a więc trawozębny! Wobec tego ty mnie zjeść nie możesz. Przepadać maro! — I widmo zniknęło, nie mogąc temu logicznemu twierdzeniu nie przeciwstawić.

II.

Podobnie wyrwał się z niesamowitych djabełskich opresji pewien angielski, kapitan marynarki. Gdy pewnego razu wracał nocą, przez jakieś odludne pustkowie, ujrzał nagle djabła w swej całej piekielnej okazałości. Stary wilk morski, mający w tym kierunku doskonałą praktykę z powodu swej żony, istnej czarownicy z piekła rodem, nie stracił fantazji i rzecze do djabła:

— Jeżeli nie jesteś djabelem, zejźdź mi z drogi, ale jeśli jesteś nim rzeczywiście, to choźdź z mną, zjemy razem w domu kolację. Mam bowiem twoją siostrę za żonę.

III.

August Mocny, książę saski, późniejszy król polski, bawił jako młody książę w gościnie na dworze cesarza Leopolda I w Wiedniu. Cesarz okazał początkowo swojemu młodemu gościowi ogromną uprzejmość i łaskawość, lecz po pewnym czasie zmienił się do niepoznania. Książę August nie mógł absolutnie dojść, co było przyczyną tej zmiany. Raz, wykorzystawszy dobry humor cesarza, zapytał go o to otwarcie.

Wówczas cesarz zwierzył mu się, patrząc przytem podejrzliwie na młodzieńca, że go ostrzegły przed nim wyższe siły. Mianowicie ukazał mu się w nocy pradziadek, cały skutych ciężkimi łańcuchami i skarżył mu się, że cierpi męki piekielne, ponieważ on gości na

swym dworze takiego świętokradzcy, jakim jest książę August.

Książę przeczył w tem wszystkim jakąś intrygę, uknuł przeciw sobie. Przekupiwszy strażę, ukrył się na noc w sypialni jego cesarskiej mości. Wkrótce po ułożeniu się cesarza do snu, o samej północy zgłasza nagle lampka nocna, a wśród błyskawic i grzmotów otworzyła się jedna ściana i ukazała się straszliwa zjawia, dzwoniąca w okrutny sposób łańcuchami. Duch zbliżył się do łóżka cesarza i powtórzył swą skargę, dodając, że cesarza spotka straszna zemsta niebios. Wówczas August wyskoczył z ukrycia, złapał ducha za kark i wyrzucił go przez okno. Na drugi dzień znaleziono na podwórzu pod oknami sypialni cesarza pewnego braciszka zakonnego w kostjumie ducha z potamanami nogami. Braciszek przyznał się, że był wykonawcą sprzysiężenia, które miało na celu usunąć księcia z otoczenia cesarza, gdyż pewne koła obawiały się, że Leopold I pod wpływem miłego, wyznającego ewangelicką wiarę, księcia, (który jednakże w trzy lata po wstąpieniu na tron przyjął wiarę katolicką), będzie skłonny do dalszych wielkich ustępstw na korzyść kacerzy.

NIE PRZEPOWIEDZIAŁ.

Kiedy miano powieścić pewnego Irlandczyka, jeden z jego przyjaciół przechodził przez plac, na którym odbywała się egzekucja:

— Co ja widzę? — zawołał. — To ty! A czyż ci nie mówiłem tyle razy, że do tego dojdiesz?

— Nie doszedłem do tego, przywieziono mnie! — odpowiedział tamten.

GŁODNY OBYWATEL.

(z. k.). Biskup Rochester — znany ze swej popędliwości — zadzwonił na kucharza, aby mu obiad podawał. Ale kucharz nie mając jeszcze obiadu, przyszedł z pustymi rękami.

— Proszę cię, przynieś mi obiad, — łagodnie powiedział duchowny — mówię ci to jako biskup Rochester. Ale, jeśli jeszcze raz zjawisz się przed moimi oczami bez niczego, to mówię ci jako zwykły, głodny obywatel: — Niech mnie djabli porwą, jeśli ci mordy nie stłukę.

MAŁA POMYŁKA.

(z. k.). Ambasador króla marokańskiego podczas pobytu swego w Anglii za Karola II, przedstawił mu następujące pismo:

— Niech Bóg najwyższy *posoli* cię w zdrowiu, aż do ukończenia dni!

Uczony ambasador znalazł w słowniku: *posolić*=zakonserwować.

niewystarczalności szkoły areligijnej i konieczności szkoły antyreligijnej, w której nauczyciele mają np. przy naukach przyrodniczych „wskazywać bzdury religijne, przy pogadankach krajoznawczych opowiadać o inkwizycji, przy każdej sposobności „podważać fatalnie zakorzenione przesady religijne”. Niektórym ze słuchaczy wydawały się te tezy za słabe, za połowiczne; w dyskusji domagali się pouczenia chłopów, że „wiara i ksiądz są narzędziem obszarnika dla zgnębienia go i trzymania na powrozie” i że antyreligijnie wychowane dziecko podważy religiję rodziców i całego społeczeństwa: że „gdy przyjdzie chwila sprzyjająca (a jest już blisko), cały ten przewrót społeczny i umysłowy dokona się razem i momentalnie”.

Są pewne zjawiska, które wystarczy pokazać, aby same wołały: baczność! Do nich należy streszczona konferencja pedagogiczna. W prasie małopolskiej ją przeociono czy przemilczano. A przecież jaskrawe, krwawe światło bije ze słów tych fanatyków, których ręce wyciągają się na Wschód i chcą tam prowadzić naprzeciw pogromcom religii i siebie — nasze dzieci, a może je już prowadzą: „Nie chcemy uczyć dzieci bzdurstw, my przedstawiciele nauki” — wołają ci „profesorowie” z jednoklasówek, może absolwenci jakiegoś jednorocznego kursu nauczycielskiego a drudzy, ostrońsi, dodają: „Ukryta walka z religią jest słuszną, i dziś może być jeszcze skuteczniejsza niż otwarta”. Władze tępią komunistyczną białę. Czy takie „żywe słowa” nie są niebezpieczniejsze da społeczeństwa i państwa?

Marja Grossek-Korycka, O SUPREMACJI ZŁA, synteza współczesności, wydawnictwo i subwencja Funduszu Kultury Narodowej

Od czasu Entuzjastek, skupiających się niedługo koło Narcyzy Zmichowskiej nie było w Polsce niewiasty o takich uzdolnieniach filozoficznych, jak zmarła przed paru laty poetka, Marja Grossek-Korycka, której sławy i kultu najbarwniejszym głosicielem jest dziś Artur Górski. Jej dwutomowa synteza współczesności, której w pierwszym wydaniu dała tytuł „Medytacje”, wywołała taki jego sąd: „Miała w sobie ścisłość myślenia Zmichowskiej, szeroki rozmach Orzeszkowej, energiczne serce Konopnickiej i wyobraźnię moralną tak wspaniałą, że trudno znaleźć dla niej porównanie nie tylko na naszym, ale i na europejskim gruncie”. Poznaliśmy się na niej: Zeromski, A. Lange, Józef Jankowski, Cezary Jellenta, Herłaine, Kołaczkowski, ale publiczność, zwłaszcza małopolska i polska, nie wiele o niej wie. Wprawdzie pochwały, oddawane jej poezjom, błędą przy czytaniu tych poezji, ale owe „Medytacje”, wydane obecnie z subwencji Funduszu Kultury Narodowej, a więc nakładem państwa, usprawiedliwiają w zupełności uznanie wymienionych krytyków.

Autorka przeprowadza rewizję składników dzisiejszego poglądu na świat. Krytykuje nauki etyczne i religijne Nietzschego, Bergsona, Jamesa snym zmkro, trwająca poza godzinę 9-tą wieczorną i ich zastosowanie w belletrystyce i poezji, ale uznaje te ich pierwiastki, które odpowiadają nam. Wstaje cała przeszłość Węgier, jakżeby pewnym potrzebom i tęsknotom dusz społecznych. Odrzuca wszystko co wywodzi się z materializmu i pozytywizmu, ale także mętny mistycyzm teozofów i antropozofów buduje własną syntezę walki i miłości w myśl zasad chrześcijaństwa.

Spoglądając ku podstawom współczesności, zauważa autorka, że nacjonalizm XVIII w. obalił niebo teologiczne, zostawiając niebo platońskie z Prawdą, Dobrem i Pięknością. Ale z pewnością prawdy załatwiła się wnet nauka, dochodząca do wyznawania niewiedzy (ignoramus), Dobro przewartościowywał Nietzsche, zastępując je wolą

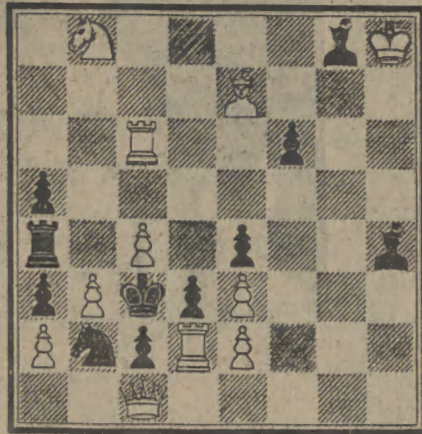
Kurjer szachowy

pod redakcją M. G.

Nr. 34 (268).

J. Opdenoordt (II nagr. w międzynarod. konkursie „Tijdschrift v. d. Nederland Schaakbond” z r. 1929).

Czarne: Kc3, Wa4, Gg8 h4, Sb2, piony: a3, a5, 2. d3, e4, f5 (11)



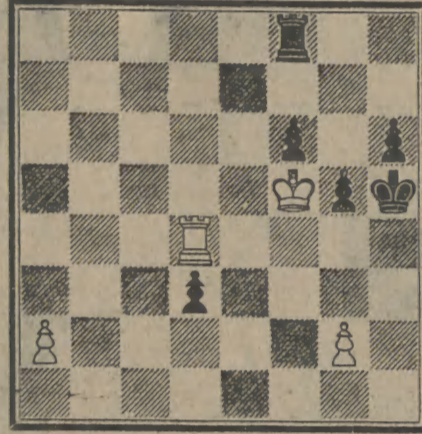
Białe: Kh8, Hc1, Wc6 d2, Ge7, Sb8, piony: a2, b3, c4, e2, e3 (11).

3-chodówka. 11+11=22.

Mat w 3 posunięciach.

H. Reti† („Magdeburger Schachztg.” 1930).

Czarne: Kh5, Wf8, piony: d3, f6, g5, h6 (6).



Białe: Kf5, Wd4, piony: a2, g2 (4).

Końcówka (+) 4+6=10.

Białe zaczynają i wygrywają.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NRU 33 (267).

3-chodówki P. F. Blake'go: 1. S—c3! I. 1... W×c3 2. G—c5+ i 3×; II. 1... K×c3 2. H—c1+ i 3×; III. 1... b5 2. G—b4 i 3×; IV. 1... W—f3 2. H—d2+ i 3×.

Końcówki K. A. L. Kubela: 1. S—d7+ K—d6 2. G—f4+ K×d7 3. G—g4+ K—e8! 4. G—h5 H×h5 5. S—f6+ K×f7 6. S×h5 K—g8 7. G—g3 S×g3 8. S—f4+ K—f5 9. S—d3 S—c4+ 10. K—h3 S—a5+ 11. K—f2 remis.

PARTJA Nr. 38 (263).

Białe: Gołmajo (Hiszpanja) Czarne: Makarczyk (Polska) grana na Olimpijdzie w Hamburgu w b. r. Szkoicka partja.

- 1. e4 e5 11. H—f3 G—e7
2. S—f3 S—f6 12. h3? (1) h6
3. S—c3 S—c6 13. G—h4 W—b8
4. d4 e×d4 14. b3 W—h4
5. S×d4 G—b4 15. G—g3 S—h7 (2)
6. S×c6 b×c6 16. Wf—e1 S—g5
7. G—d3 0—0 17. H—e2 G—f6
8. 0—0 d5 18. G—e5 G×h3!! (3)
9. e×d5 c×d5 19. g×h3? (4) G×e5
10. G—g5 c6 20. Białe poddały się.

UWAGI:

- (1) Osłabia bez potrzeby skrzydło Króla. Właściwym posunięciem było: 12. Wa—e1!
(2) Makarczyk przegrupowuje lekkie figury, celem wzmocnienia ataku na skrzydło Króla. Gdyby Białe wymienili G za Sh7, otrzymaliby gorszą końcówkę.
(3) Niespodziewana i zupełnie poprawna ofiara!

(4) Przyjęcie ofiary przegrwa natychmiast. Na 19. f4 rozstrzygało 19... W×f4! lub też: 19... H—b6+ 20. K—h3 G×e5 21. H×e5 H—f2 22. H—e2 G×g2+ 23. K—h2 S—f3+.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA SZACHOWEGO.

BILIN. Wynik turnieju: I Foerder 6, II Flohr 5½ III—IV Piczak i Sexl po 5, V Elsnar i Zinner po 4 p.

W turnieju o mistrzostwo: I. Dr. Farkas 6.

Jeden z dzienników warszawskich podnosi słusznie obojętne zachowanie się prasy i społeczeństwa wobec świętego zwycięstwa drużyny polskiej na Olimpijdzie w Hamburgu. Gdyby poszczęślił się nam tak wspaniały sukces w konkurencji kłobrej galezi sportu, dzienniki z pewnością poświęciłyby całe kolumny na entuzjastyczne pochwały. Zaznaczyć należy niechętnie nam zachowanie się prasy czeskiej i niemieckiej, które usiłują zaprzeczyć polskości Rubinstaina i Tartakowara!

W tym roku zmarło już trzech mistrzów szachowych starszej generacji, a to: Gunsberg (Anglja), Fährdrich (Austria) i Fleischmann (For-gacs, Węgry).

Sprostowanie. W numerze 33 (267) Kuryera Szachowego zaszła omyłka w opisie algebraicznym 3-chodówki P. F. Blake'go: zamiast Sg3, ma być Sg6, jak na diagramie.

Odpowiedzi Redakcji.

WP. SONIA PRZEORSKA W KRAKOWIE, „J. St.” (Po zwycięstwo), „E. K. SKOP, KRAKÓW”; WP. KAZIMIERZ KOZEW W JAWORZNI; „KUBA”; WP. ARTUR BIELECKI (Imieniny Królowej Pol-eki) — Nie wydrukujemy.

„L. S. RADOMSKO”. Wiersze gładkie ale raczej szablonowe.

J. ANDRZEJ FRAS... „O świecie” zatrzymane.

ST. K... „Wrzośy” zatrzymane.

T. H... „Noc letnią” zatrzymujemy.

WP. IRENA BIAŁOWIECKA W WILNIE. Nie umiemy.

WP. AGAW R. Wierszy ładny, ale spóźniony.

WP. JOZEF SMUGA. Wiersze zdradzają talent. Warto pracować.

„LWOWIANIN 2”. Dziękujemy, nie.

MARJAN SAND. Nowel „Straszny dwór”, „Prze-klecie monety” nie zamieścimy.

WP. ST. J. NOWAK. Zatrzymujemy drobniutki rozrywkowe. „Pogody” nie wydrukujemy.

„E. K. SKOP”. Wiersze jeszcze nieklarowne.

„JANASZ JAN”. Wiersz „Bija dzwony” szlachet-ny, ale nieporadny.

WP. TADEUSZ BRYŁKA. Z feljetonu „Oj ta pra-ca” nie skorzystamy.

„TANGA CZAR”. Wiersz bamiśny.

WP. GWIDO RAKOWSKI. Artykuł oddaliśmy „Kurj-Turystycznemu”.

WP. ST. PIETAŁ. „Twarde serce” nie pójdzie.

„ELA OL...”. „Z szumem skrzydeł husarii” nie wydruka-jemy.

WP. INA HALSKA. Istotnie — szablonowy.

„IWONJA”. „Wieczór lata” pójdze. „Za słońcem plek-na” oddane „Szer. Światowi” Ostatni — nie pójdze.

MARJAN SAND. Nowel: „Olga Rosjanka” i „Fatalne popiersie” nie zamieścimy.

WP. TADEUSZ SOKOŁOWSKI. „Chleb ubogich” i „Spie-wająca kawiarnia” — nie pójda.

WP. ALEKSANDER IWANOW. Nie umiemy.

Kącik rozrywkowy

SZARADA.

(Ul. H. St. Z Krakowa).

Trzecia pierwsza w „Listopadowej Nocy” mło-dzie zachęca do boju, Mówi więc dużo i wreszcie prowadzi ją do znoju. Teraz obraz się drugie trzecie gdyż z literatury Wkracamy w kraj martwej obecnie natury. A więc się pytam: ileby trzeba jeden dwa i trzeci Do naprawienia szkół Francji powodzi? Za to trzecia czwarta szczęściem plonie, Zes nie leży przy Garonnie! Cichość duża a nowa, dobrobytu dałaby zadatki, Gdyby, och gdyby nie te kolosalne nasze podatki!

ROZWIĄZANIE REBUSÓW Z NR. 35:

- 1) Czas to pieniądz; 2) Popiel; 3) epoka; 4) krzak; 5) granat; 6) napad; 7) zasuwka; 8) należytość; 9) grenadier.

Potęgi, jako najwyższą cnotą. Amoralizm Nietzschego, zaszedłszy do warstw półintelligen-cji, stracił pragnienie bohaterstwa, nadczłowie-czeństwa i został z niego tylko egoizm i prawo silniejszego. Moralne czyny zaprzeczycieli mo-ralności płyną już tylko z instynktu.

A przecież sam ślepy instykt na długo nie wystarczy. Szuka więc autorka nowych pod-staw moralności, uznając za niewystarczające ta-ki szczęścia ludzkości, korzyści wspólnej ety-ki perfekcyjnej, głoszonej przez różne związki (także skautowe) i szuka czegoś wyższego. Znaj-duje to w poświęceniu, w dobroci, dającej ety-cej niż powinna, i biorącej mniej, niż jej się należy. Jest to ideał świętości, która dlatego jest wyższa od bohaterstwa, że w bohaterstwie jest jeszcze trochę racjonalizmu, w świętości osta-teczne zatracenie siebie samego. Ale dziś nie wielu chce słyszeć o świętości. Zjemy pod pa-nowaniem zła. Literatura i dawniej przedsta-wiała je z zamiłowaniem, ale czuło się przytem zawsze, że zbrodnia żyje pod zaprzeczeniem; dziś autorky głoszą, że zło jest wyższe, piękniej-sze, nadnaturalniejsze od dobra. Ta jego apoteo-za dokonała się na tle rozprężenia wszelkich hamulców moralnych w społeczeństwie, nawet w rodzinie. Znliko ze wszelkich stosunków po-święcenie i poczucie niewystarczalności dóbr i uciesch ziemskich. Wszystko to owoce racjona-lizmu... Piętnowanie racjonalizmu stało się dziś u nas modne. Dlatego warto przypomnieć uwagę Mefista, cieszącego się, że Faust wątpił o ro-zumie: Pogardzaj głupcze rozumem a wnet znaj-dziesz się w mych objęciach Z tem następstwem irracjonalizmu autorka się nie liczy.

NARCYSSA I WANDA, wydał i wstę-pem poprzedził Boy-Zeleński, Warszawa, Dom Książki Polskiej.

W zbiorowym wydaniu listów Zmichowskiej

(2 tomy w r. —1885, trzeci w r. 1906) ostatnie piętnastolecie życia poetki zmarłej w r. 1876. re-prezentowane było jedynie korespondencją Ellę (Izabellą Zbiegniewską). Obecnie epoka ta wzbogaca się 185 listami do Wandy Grabowskiej, po mężu Zelenkiej, pisanymi do dawnej uczenni-cy, późniejszej przyjaciółki i powiernicy, od św. Jana 1859 do św. Jana 1876, a więc przez lata, w których Gabriella, zlamana półtrzecia-rocznem więzieniem lubelskim (opuszcza je w r. 1852), wyczerpana pracą nauczycielską w Warszawie, przygnębiona nieszczęściami r 1863, przestała tworzyć, by dopiero pod wpływem Wandy podyktować tuż przed śmiercią ostatni swój utwór: *Czy to powieść*. Surogatem twór-czości są właśnie te listy do Wandy, w których nie miała, wychowaną w starych konwenansach panienkę kształci na nowoczesną, realistyczną kobietę. a zarazem na — autorkę. Zapropnowała jej napisanie do spółki powieści autobiogra-ficznej o nowej kobiecie, zmuszała do pisania, a na marginesie przesyłanych rozdziałów robiła uwagi techniczne (poznajemy tu warsztat lite-racki Gabrielli), psychologiczne i inne. Wspól-na powieść nie ujrzała światła dziennego. Ga-brielli szkic: *Czy to powieść* jest jej zastęp-stwem. Ale bardziej niż ów ostatni utwór prze-mawia do naszego rozumu i uczucia ta obfita korespondencja, której słowa, poza interesem biograficznym, mają aktualność dziwnie ma-drości — serca, najcenniejszej ze wszystkich mądrości. To też syn adresatki, który jakby w spełnieniu ostatniej woli Matki przypomniał i ożywił w ostatnich latach znajomość pism Ga-brielli, przez powiększenie jej puściżny o du-ży tom najpiękniejszej pracy zasłużył się dobrze i literaturze i kulturze polskiej.

Kącik dla Pań.

Jak ubrać małe dziewczynki.



Kraków, 31 sierpnia.

(Jol) Sukienki małych dziewczynek nie ulegają na szczęście tendencji mody i nie wydłużają się, jak suknie ich matek. Są nadal króciutkie i pozostaną takimi w zimie, bo przecież żyjemy pod znakiem hartowania dzieci.

Sukienki te mają przeważnie krótki i dosyć obcisły staniczek, z którym się łączy szeroka, suto przymarszczona spódniczka.

Większe dziewczynki noszą granatową plisowaną spódniczkę i marynarską bluzę. Dla mniejszych szyje się sukienki z flaneli w pastelowych kolorach, z lekkiej wełny, lub z aksamitu do prania.

Plaszczki dla dziewczynek mają charakter sportowy i noszą się z czapczką z też masej materji.

Podajemy ładne modele dla małych dziewczynek.

PLAZA W DOMU.



Jak urządzić sobie plażę morską w domu, jeśli się nie wyjechało nad morze.

MIĘSO DZIECI.

(L) — Mamo, co kosztuje jeden kilogram mięsa dziecięcego?
— Ależ dziecko! Dzieci się ani nie sprzedaje, ani się za nie nieplaci na wagę.
— A dlaczego zaraz od urodzenia ciągle się małe dzieci waży?

W DZISIEJSZYCH CZASACH.

(L) Urzędnik państwowy: — Co? znowu przychodzisz z rachunkiem? Czy może twój majster myśli, że uciekam?
Chłopak: — Nie, tego nie myśli, tylko mój majster sam zamierza czmychnąć.

NIEPOROZUMIENIE.

Panna Zosia przychodzi do swej przyjaciółki, którą zastaje płaczącą.
— Co to? ty płaczesz? co się stało?
— Ach, Zosiu, jestem całkiem bezradną!
— No, jeżeli tylko to, to ci mogę służyć swoją radą.

PRZY OKIENKU POCZTOWYM.

Ona: — Czy nie ma do mnie listu pod literami L. M.?
Urzędnik: — Niema, proszę pani, jest tylko list adresowany L. L. M. M.
Ona: — To napewno dla mnie, mój narzeczony, się jąka.

NIEDOWIAREK.

(L) Wierszokleta: — Proszę, za swoje poezje otrzymałem już nawet srebrny wieniec.
Wydawca książek: — To każdy może powiedzieć! Pokaż pan kwit zastawniczy na niego.

TROSKLIWA.

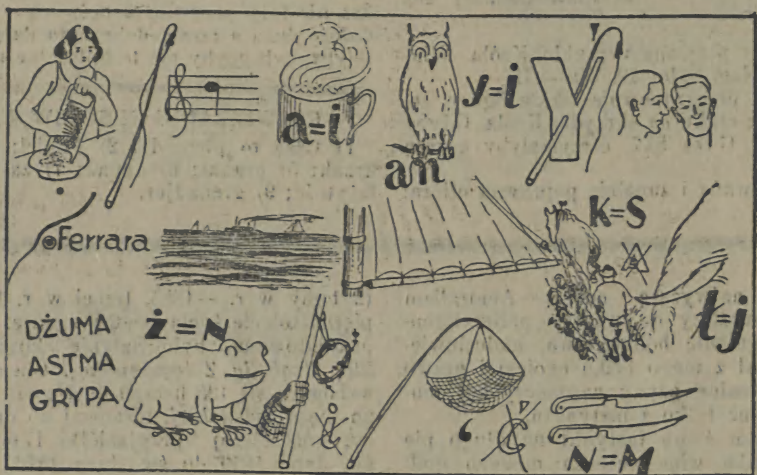
(L) Mąż (czyta głośno): — Wiadomem jest, że każdy metal przyciąga do siebie pioruny...
Zona przerywa mu: — Widzisz, jak to dobrze, że ci nigdy nie dają klucza od bramy!

PO SCENIE MAŁŻENSKIEJ.



— A przecież jestem zgola łatwą do pożycia — gdy jestem całkiem sama...

REBUS.



Wesoły kącik.

Z ZASTRZEŻENIEM.

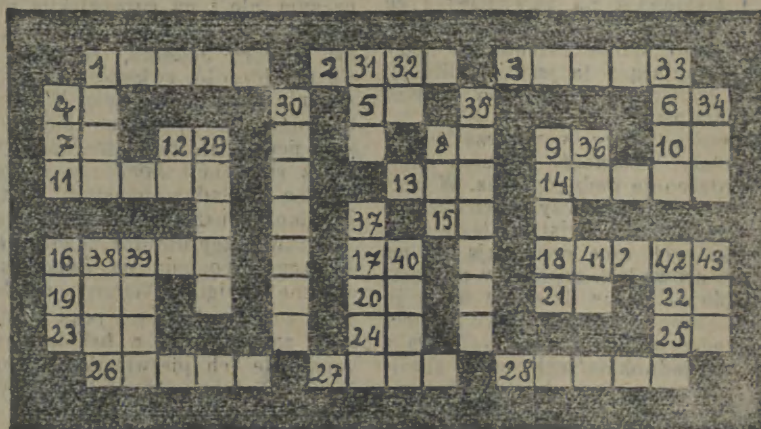
(L) Kucharka pyta swego adonisa, rezerwistę-szeregowca:
— A czy zostaniesz mi wiernym, Jaśku, jak już będziesz przy wojsku?
— O tak, to jest o tyle, o ile nie zostaną kapralem.

MA SZCZĘŚCIE.

(Z K.) — Widziałem pana wczoraj z wędką nad rzeką. No jakże się panu poszczęściło?
— A bardzo, bardzo dobrze drogi panie. W czasie, gdy byłem zajęty zarzucaniem wędki, egzekutor podatkowy trzykrotnie przychodził do mojego domu — no i nie zastał mnie...

Szarada krzyżkowa Nr. 35.

(Ul. A. G. ze Strzyżowa).



Pionowo.

1) Miara ciężaru (skrót), 4) Część ubrania, 8) Zwierzę domowe, 9) Zbocze, 12) Zaimek, 16) Mieszkanina kredy i pokostu, 29) narząd, 30) broń palna, 31) skorupiak, 32) Litera fon, 33) Imię męskie, 34) „Módl się” w jęz. martw, 35) Zasłona, 36) Miara pow. 37) Niemy w jęz. martw. (wspak), 38) Liczba (wspak), 39) Mieszkaniec wschod. (wspak), 40) Miejsce pd zasiew, 41) „Za” w jęz. martw, 42) Bożek miłości, 43) „Rzeka” w jęz. obc.

Poziomo.

1) Rzemieślnik, 2) Praca w polu, 3) Błask poranny, 4) Spółgłoska i samogł, 5) Dwie równobrz. samogł, 6) Nuta, 7) Mieszkanie pszczół, 8) Lit. fonet, 9) Dwa samogł, 10) Miara powierzchni, 11) Znajdziesz w sklepie, 12) Zaimek, 13) Okres czasu (wspak), 14) Wrota, 15) Zaimek, 16) Wąż jadowity, 17) „Zegar” w jęz. obc., 18) Władca rzymski, 19) Imię żeńskie zdrobn., 20) = 12, 21) Przyimek, 22) Nuta, 23) Smar, 24) = 7 25) Dwie równobrz. samogł., 26) Związek ludzi poświec., Bogu, 27) Znak, 28) Środek lokomocyjny (wspak).

Rozwiązanie szarady Nr. 34.

